BIBLJOTEKA
DZIEŁ WYBOROWYCH

BIBLJOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor i Wydawca
Feliks Gadomski

Rok 1927. Tom 4.

Ogólnego zbioru serja III, tom 121.

Cena tomu w prenumeracie:
w oprawie . . zł. 1.39

Cena tomu poza prenumeratą:
w oprawie . . zł. 2.20

Redakcja i Administracja:
Warszawa, Sienkiewicza 12

STANISŁAW DZIKOWSKI

ZACZAROWANE ZWIERCIADŁO

Zbiór baśni polskich, francuskich, szwedzkich, irlandzkich i rosyjskich.

WYDAWNICTWO BIBLJOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH
WARSZAWA, SIENKIEWICZA 12.

Druk. Sikora, Nowolipki 6

PRZEDMOWA

Niniejszy zbiór ludowych baśni europejskich, jakkolwiek dla szczupłości swojej nie może być uważany za jakąś całość wyczerpującą i konsekwentnie obmyśloną, daje jednak uważnemu czytelnikowi przedsmak bezmiernego bogactwa, które znaleźć może w tem wszystkiem, co zwie się klechdą, baśnią, legendą, gadką, bajką, wierzeniem, i. t. d.

Utarło się u nas przekonanie, że to, co się popularnie „bajką" nazywa, może być traktowane wyłącznie jako lektura dla młodzieży i to dla bardzo młodej młodzieży, skoro ona dziś już od lat najwcześniejszych zajmuje się przedewszystkiem postępami wiedzy technicznej.

Pogląd to zasadniczo fałszywy, przejawiający zupełną nieznajomość tej dziedziny.

Wytwory fantazji ludowej, przykrojone do umysłowosci dziecięcej, wykastrowane przez srogie wymagania pedagogiczne tracą bardzo często znaczną część swojej wartości, żywość barw, głębie filozoficzną i mistyczną oraz nieskrępowany polot poetycki. Nie wynika z tego bynajmniej,, aby baśni nie były potrzebne młodzieży, aby w pewnym wieku miały nie wpływać na rozwój wyobraźni, ale jasnem stać się musi, że nie powinny być obce dla człowieka dojrzałego, zwłaszcza, że przed nim tylko mogą w pełnym wystąpić blasku.

Wydając niniejszy zbiorek miałem to specjalnie

na uwadze, że winien on być miłą lekturą dla tych wszystkich, którzy zmęczeni szarzyzną współczesnego życia i codziennemi troskami, znajdą radosne wytchnienie w czarodziejskiej krainie fantazji.

Ten pierwszy wybór baśni zawiera dość znaczną ilość polskich opowiadań fontastycznych. Ponieważ już od kilku lat pracuję nad klechdami polskiemi, łatwo mi było tego dokonać. Wszystkie baśni polskie, umieszczone w tym zbiorku zostały przeze mnie opracowane z jak największą starannością i na podstawie wszelkich dostępnych mi materjałów. Nie uważałem za stosowne posługiwać się którymś ze znanych naszych zbiorów, gdyż wszystkie one nie odpowiadają wymaganiom współczesnym. Przeważnie grzeszą zbytnią rozwlekłością, ozdobnością fałszywą i ckliwym sentymentalizmem, co jest z duchem ludowym zupełnie niezgodne, a pozatem nie mogły uwzględnić olbrzymiego materjału, zebranego przez naszych etnografów i skrzętnych zbieraczy.

W baśniach polskich, opracowanych przeze mnie starałem się stopić w jedną całość wszystkie zapisane odmiany, oraz mimo formy literackiej zachować właściwości języka ludowego.

Stanisław Dzikowski.

O MOCNYM BRACIE I O ZŁEJ SIOSTRZE.

Dwoje ich było we dworze przy starym szlachcicu — brat i siostra. Chłopakowi było na imię Jan, a dziewczynie Anusia. Kiedy ojciec zaniemógł i na śmiertelnem już spoczął łożu, zawołał do siebie syna i tak doń powiedział:

— Już się niedługo zawrą na zawsze moje zmęczone powieki. Będziecie płakali nad moim grobem, ale potem świat na was zawoła i zapomniecie o starym ojcu. Ale, żebyś ty chociaż czasami mnie sobie przypomniał, dam ci coś na pamiątkę i ku pożytkowi.

Podniósł się z trudem i sięgnął wychudłą ręką po szablę, która wisiała nad łóżkiem.

— Ta szabla — powiedział — nie tak, jak inne wspaniała, niema na niej złota ani drogich kamieni, w czarny jaszczur tylko oprawna, ale to jest szabla cudowna. Dopóki ją będziesz miał u boku czy w garści nikt cię nie zwycięży, nikt nad ciebie silniejszy nie będzie. Czy w bitwie czy w zwadzie, czy z konia czy pieszo, zawsze zwyciężysz! Zwałeś się dotąd Janem, teraz mocnym Janem będziesz. Niech ci służy w każdej potrzebie tak, jak mnie służyła. Pamiętaj tylko, abyś przed nikim nie zdradził tajemnicy.

— I przed siostrą także? — zapytał syn.

— Nawet siostrze nic nie mów — odpowiedział ojciec.

W niedługi czas potem zmarło się staremu szlachcicowi.

Kiedy minęła żałoba, zaczęły dzieci rozmyślać, co robić? Zostało im piękne gospodrastwo i niczegoby im nie zabrakło aż do śmierci, gdyby siedzieli na ojcowiźnie. Ale Jan nie chciał, jak kamień mchem na miejscu obrastać i powiada do siostry:

— Zostań siostrzyczko w domu, oddaję ci wszystkie moje dobra, a sam pójdę w szeroki świat, coś zobaczyć, czegoś się nauczyć.

A Anusia na to:

— Ja także nie chcę tu siedzieć, pójdziemy razem.

Żal im było ojcowiznę sprzedawać, ale nareszcie na to przyszło. Znaleźli się tacy, co wszystko kupili, a oni podzielili pomiędzy siebie pieniądze na równe części. Jan przypasał szablę ostrą i na ramię strzelbę zarzucił.

Szli przez cały dzień, aż ich spotkała noc w bardzo wielkiem lesie. Słońce zgasło i taka nieprzebita ciemność nastała, że stracili drogę i nie wiedzieli w którą obrócić się stronę? Wtedy Jan powiedział do siostry:

— Ano zbłądziliśmy, niema innej rady, jak tylko wleść na ten wysoki dąb i zobaczyć, czy nie widać gdzie światła? W tę stronę, gdzie światło ujrzę, tam rzucę czapkę. Ty zaś uważaj dobrze i stań zaraz w tem miejscu, żebyśmy wiedzieli, jak się kierować.

Wlazł zaraz na sam czubek wysokiego dębu, który się wznosił ponad wszystkie drzewa, ale choć było widać z niego bardzo daleko, nie mógł zrazu dostrzec żadnego światła. Dopiero po długim czasie zobaczył, że gdzieś hen, w oddali migoce coś, jak świętojański robaczek. Zerwał czapkę z głowy i cisnął w tę stronę, a sam opuścił się na dół. Anusia stała przy czapce.

Długo jeszcze wędrowali po lesie. Nieraz potykali się o wystające korzenie i z niemałym trudem torowali sobie drogę przez gęste krze, aż wreszcie

zobaczyli z góry wspaniały, olbrzymi pałac, rzęsiście oświetlony. A mieszkali tam zbójcy i to zbójcy najgorsi ze wszystkich.

Oni zaś nic o tem nie wiedzieli i śmiało weszli do pałacu. Zobaczyli tam bardzo piękne pokoje, aż się lśniło dokoła od złota, srebra i djamentów. We środku nie było nikogo oprócz starej kobiety. Była to matka zbójecka, która gotowała właśnie wieczerzę dla swoich dwunastu krwawych synalków. Tak, jak każdego dnia poszli kraść, mordować, podpalać i mieli wrócić niedługo.

Jan zapytał tej kobiety:

— Czybyście nie chcieli nas na noc przyjąć? Maszerujemy już cały dzień i jesteśmy bardzo zmęczeni.

Stara baba odrzekła, że przyjmie ich bardzo chętnie i że im zaraz da jeść. Widziała przecież, że Jan i Anusia piękne szatki mają na sobie, więc się jej wydało, że i pieniędzy im nie brak. Będzie tedy dobra gratka dla nienasyconych nigdy rabusiów.

Postawiła im jadło na stole, a sama zaczęła rozstawiać talerze i miski. Widząc to Jan zapytał:

— Cóż to matko, na tyle osób nakrywacie?

— To dla moich synów, — odpowiedziała — jest ich dwunastu, pracują w lesie przy drzewie, a jak przyjdą, będzie im się chciało jeść.

Jan domyślił się zaraz, że stara nie mówi prawdy, boć przecież prości drwale nie mogli mieszkać w takich pałacach i takich pokojach, ale nie obawiał się niczego.

Nie trwało długo, a oto rozwarły się drzwi i weszło dwunastu chłopów ze strasznemi, czarnemi gębami, jeden większy od drugiego.

Nic nie mówiąc zasiedli przy stole i z początku udawali, jakgdyby nie chcieli im nic złego zrobić. Pytali się tylko, skąd przyszli?

Jan zaś odrzekł:

— Nasza droga jest bardzo daleka.

— A gdzież idziecie?

— Gdzie oczy poniosą — w świat!

— Czego szukacie? Służby, roboty!

— Niewiadomo jeszcze, co się nam zdarzy.

— A możebyś się z nami stowarzyszył?

— Czemu nie, — mówi Jan. — takim dobry, jak i wy.

Oni zaśmieli się wszyscy i powiadają:

— My byle ciaracha nie przyjmujemy, ale jeśliś chwat, to możesz z nami na zbój chodzić.

— A jakaż to jest ta chwacka próba? — Jan zapytał.

Wtedy wystąpił starszy zbójca, roześmiał się okrutnie, dźwignął w górę swój zakrwawiony miecz i zawołał:

— Ze mą trzeba paniczku w taniec!

Mocny Jan zerwał się odrazu i jak zatoczył ojcowską szabelkę, jak ją odwinął, tak zaraz ściął plugawy łeb najstarszego zbójcy.

Wtedy oni rzucili się na niego wszyscy, ale tak rąbał, tak ciął, że ich wszystkich zasiekł, porąbał i tylko głowy potoczyły się na ziemię.

Kiedy zbójecka matka to zobaczyła, obłapiła go za kolana i płacze a prosi:

— Daruj przynajmniej mnie życie, jasny paniczu, bom nic nie winna. Co kazali, tom zrobiła.

— Dawaj klucze od piwnicy, bo ci łeb zetnę, jak twoim synom.

Dała mu klucze i zaprowadziła go w to miejsce, skąd zbójcy rzucali do ciemnego lochu pomordowanych ludzi.

Wziął tego najstarszego i powiada:

— Tyś najpierw zginął, chodź najpierwszy!

I rzucił go do tej gróbalni, a potem wszystkich

po kolei. Spuścił też i starą do środka, zatrzasnął żelazne wrota, zamknął je na klucz, a klucz schował. Wyporządzili pałac z siostrą, wymyli z krwi podłogę i położyli się spać. Dopiero nazajutrz zaczęli oglądać te wielkie dobra i majątki, które zostały po zbójcach w pałacu i na tem zeszło im kilka dni.

Jednego ranka powiada mocny Jan do Anusi:

— Teraz tu zostaniemy już na zawsze.

— Nie powędrujemy dalej? — zapytała Anusia.

— Tymczasem nie, piękniejszego pałacu nie znajdziemy chyba na całym świecie. Grzech byłoby go rzucać, teraz ja pójdę do lasu, bo trzeba przynieść świeżego mięsa, a ty tymczasem ugotuj mi obiad!

Chodził po lesie i zastrzelił kilka ptaków, a las był wielki i ciągnął się na siedem mil we wszystkie strony świata.

Tywczasem Anusia, krzątała się przy swojej robocie to tu, to tam. Kiedy zaś przechodziła koło piwnicy usłyszała jakieś szepty, jakieś ciche rozmowy. Słucha jeszcze lepiej i wierzyć jej się nie chce: zbójcy z matką rozmawiają. Zlękła się, ale pomyślała: przecież wrota zawarte, nic mi się złego stać nie może. I, jak to zawsze kobieta ciekawa, nie mogła wytrzymać i pyta:

— A toście żywi?

— Ano żywiśmy — odpowiedział najstarszy zbójca z dołu — matka cudownem zielem posmarowała nasze przerąbane ciała, przyłożyła głowy i otośmy wskrzeszeni do życia.

— Poczekajcie no tylko, jak mój brat wróci, zaraz mu wszystko opowiem.

— Ej, Anusiu — odezwał się najmłodszy zbójca — nie bądź dla nas taka sroga.

I tak pięknie, tak słodko zaczął do niej przemawiać, że go już słuchać musiała.

— Cóż ty tu będziesz robić w tym ciemnym le-

się, — mówił — tu tylko same dzikie zwierzęta. Szkoda ciebie, szkoda. Szkoda, żeby marnie zginęła twoja młodość i uroda. Trzeba tobie do świata, do ludzi, a nie w wianeczku umierać.

— Pomóż nam, — mówi znowuż zbójecka matka — to cię mój syn najmłodszy pojmie za żonę, nabierzecie wszelkiego bogactwa, pojedziecie do wielkego miasta, gdzie żyć można wesoło i bujnie.

Itak długo jej dogadywali, aż się serce siostry odwróciło od brata i przeszła na ich stronę. Nawet już sobie z tego nic nie robiła, że oni chcą go zabić.

— Jakże go zgubić, — mówi wreszcie — chyba mu klucz ukradnę i wypuszczę was z tej piwnicy.

— Tak nie będzie dobrze, — odpowiedzieil zbójcy — bo on nam znowu głowy skosi. Trzeba inaczej zrobić! Ty go nie zgubisz, tylko on sam musi zginąć. Rozchoruj się i powiedz, że ci się mleka zajęczego zachciało. Tu są straszne knieje, a w nich różne zwierzęta, ale zająca tu nie uświadczy. A on, jeżeli ciebie lubi, będzie szukał, drogi do domu nie znajdzie i pewno go jakieś bestje w lesie rozszarpią.

— Ano dobrze — powiada Anusia.

Dała im jeść, bo oni już z głodu trupy zaczęli ogryzać i położyła się do łóżka.

Wrócił mocny Jan z polowania i widzi, że siostra jakoś niezdrowa i jęczy żałośnie.

— O moja siostrzyczko, co ci to?

— A mój braciszku nie wiadomo co mi się stało, ale tak mi się wydaje, że tylko mleko zajęcze mogłoby mi pomóc. Żeby choć kropelkę zajęczego mleka!

Poszedł, niedaleko wędrował i widzi, że stara zajęczyca siedzi i dwa zajączki ją cyckają.

Złapał strzelbę, przyłożył się, a wtem zajęczyca odzywa się ludzkim głosem:

— Jaśnie panie, nie psuj strzelby nie strzelaj, a co chcecz, to odemnie dostaniesz!

Zdziwił się, że zając do niego ludzkim głosem przemawia i wie, że on szlachcic.

— Chciałbym twojego mleka — woła.

—Ano chodź, możesz dostać, a mnie życie daruj.

Ustrzykał trochę mleka do flaszki, a zajęczyca powiada jeszcze:

— Weź sobie jednego z moich synów, on ci będzie ku pomocy, jak we dnie tak i w nocy.

Posłuchał tej rady, wziął zajaca ze sobą, zamknął go w stodole i co tchu pobiegł do siostry.

— No cóż, przyniosłeś? — pyta Anusia.

— A niosę, moja siostro.

Dał jej,wypiła i mówi:

— O, mój braciszku, zdaje mi się, żem już zupełnie wyzdrowiała.

Kiedy on poszedł znowu na polowanie, Anusia zerwała się z łóżka i leci do zbójców.

— Przyniósł? — zapytali.

— Przyniósł!

A to dopiero szczęście, — powiadają — my tu tyle lat siedzimy, a jeszcześmy zająca nie widzieli.

— No i cóż będziemy dalej robić?

— Jeszcze raz się rozchoruj i powiedz, że ci się chce wilczego mleka. Jak on pójdzie między wilki, bo tu wilków dużo, to choć jednego zastrzeli, inne go roztargają.

Tymczasem kiedy mocny Jan wracał do domu, spotkał na środku drogi lisa na strzał. Kiedy zaś złożył się do niego, ten przemówił, jak człowiek:

— Nie strzelaj do mnie, jaśnie panie, tylko mnie zabierz ze sobą, a będę ci ku pomocy, jak we dnie tak i w nocy!

Zdziwił się znowu, ale zabrał go ze sobą i wróciwszy do domu, zamkął go w stodole wraz z zającem

A siostra znowu choruje.

— Siostro miła co ci to? — pyta mocny Jan.

— O, mój braciszku, strasznie zasłabłam, ale wilcze mleko pachnie koło mnie i widzi mi się, że gdybym go się napiła, tobym zaraz wyzdrowiała.

— O, moja siostro, toć tu wilki są, dostałem jednego, to i drugiego dostanę.

Poszedł i zaraz niedaleko spotkał wilczycę, którą ssały młode. Celuje do niej, a wilczyca mówi:

— Jaśnie panie, nie psuj strzelby, co chcesz odemnie dostaniesz, a mnie życie daruj.

— Chcę mleka!

— Możesz sobie udoić, a weź też jednego mojego syna, bo on ci będzie ku pomocy, jak we dnie, jak i w nocy!

Zabrał ze sobą wilka i zamknął go razem z tamtemi w stodole.

Siostra wypiła już mleko wilcze i powiada, że już wyzdrowiała. Został w domu i dopiero na drugi dzień z samego rana poszedł na polowanie. Chciał już do domu wrócić, kiedy zobaczył przed sobą strasznego smoka z sześcioma głowami. Strasznie się przeląkł i szybko wlazł na wysoki dąb. Wtedy jednak tak sobie pomyślał:

— Niech się dzieje co chce, a ja ci smoku nie daruję. Może ty jesteś jakimś czortem przeklętym, który wylazł z piekła, więc nabija flintę srebrnym, poświęcanym talarem i wygarnę do ciebie.

A kiedy tak zrobił i zmierzył się do smoka, ten przemówił ludzkim głosem:

— Nie psuj strzelby, jaśnie panie, weź mnie ze sobą, a będziesz mnie miał ku pomocy, tak we dnie, jak i w nocy.

Mocny Jan nabrał otuchy, zlazł z dębu i przystąpił do smoka. Wtedy on mu dał jakąś piszczałkę i jeszcze powiedział:

— Tę piszczałkę noś zawsze przy sobie, bo ci będzie niedługo potrzebna, a kiedy na niej zagwiz-

dasz, wtedy zając, lis, wilk i ja przybiegniemy ci z pomocą.

— To już wiesz o tamtych zwierzętach? — zapytał mocny Jan zdziwiony.

— A wiem... — odpowiedział smok.

I poszli do domu.

Tymczasem Anusia znowu się naradzała ze zbójcami i z ich matką, jak zgubić dobrego brata.

— Jeszcze mamy jeden sposób na niego. Jest tu w tym lesie młyn zaklęty i choć tam nikogo niema, ciągle się w nim miele. Kto tam wejdzie, to już z niego nigdy nie wyjdzie. Wielu z naszych poszło tam dla ciekawości, ale żaden nie wrócił, więc połóż się raz jeszcze i udaj chorobę i powiedz mu, że w lesie jest młyn, a tobie się koniecznie stamtąd łakoci zachciało. Jeżeli do tego młyna pójdzie, to już napewno nie wróci.

Położyła się znowu do łóżka i jęczy strasznie. Mocny Jan przyszedł i pyta:

— Cóż ci to znowu siostrzyczko?

— Sama nie wiem, co się ze mną dzieje? Nie wiem czy w gorączce czy na jawie widziałam młyn w tym lesie, a ciasteczka z tego młyna ciągle koło mnie pachną i pachną.

— O, moja siostro kochana, prawda to jest, bo chociaż młyna nie widziałem, słyszałem w lesie huk jakiś straszny. Pójdę tam. Dostałem już jednego i drugiego, to ci i łakotek przyniosę.

Poszedł tam, i zobaczył olbrzymi młyn nad czarną strugą. Prędko obracało się zębate koło i mąka się męła, chociaż nigdzie nikogo nie było widać. Śmiało wszedł do środka, do jednej i do drugiej izby, a tam stoi stół nakryty, zastawiony dobrem jadłem i napitkiem. Usiadł, zjadł trochę, napił się wina i czeka, aby ktoś przyszedł, ale nikt się nie zjawił. Woła, ale, nikt nie odpowiada. Posiedział jeszcze trochę i mówi.

— Cóż będę siedział, trzeba iść!

Włożył różnych przysmaków do torby, oszacował to wszystko i pieniądze położył na stole. Ale ledwo się ruszył ku drzwiom, wszystkie drzwi się zatrzasnęły i zrobiło się ciemno. Zląkł się mocny Jan: cóż teraz będzie, ale, kiedy się opamiętał, przypomniał sobie o piszczałce, wydobył ją i zagwizdał. Skoro tylko zagrał na niej, zając, który jest zawsze najczujniejszy, obudził się i woła na tamte zwierzęta:

— Wstawajcie, bo nasz pan w niewoli!

— Prawda, że w niewoli — odpowiedział smok — i to w dużej.

Polecieli wszyscy, wpadli do tego młyna, jak smok, wilk i lis zaczęli tłuc drzwi, tak i potłukli, a on stamtąd wyszedł. Wrócił do domu i dał siostrze obiecane przysmaki z zaklętego młyna.

Ona zjadła wszystko i powiada:

— O, mój braciszku, teraz tom chyba na zawsze wyzdrowiała.

Potem kazała mu iść spać, wyciągnęła klucz od piwnicy, poleciała do zbójców i mówi:

— Przyniósł, ale chodźcie teraz, on śpi twardo, to go zabijecie.

— Ej, nie pójdziemy, — odpowiedział najstarszy — skoro on takie miejsca obszedł i nie zginął, to my mu też nic nie zrobimy. Nie ma innej rady tylko musisz go prosić i molestować, żeby ci powiedział w czem jest jego siła?

— Czy on mi aby powie?

— Byłoby bardzo dziwne, gdyby kobieta nie umiała wydobyć tajemnicy od mężczyzny, który ją lubi.

— A potem co?

— Potem postaraj się mu zabrać to, w czem ma siłę i do nas przybiegnij, a resztę już my zrobimy.

Poszła zła siostra do dobrego brata, obudziła go, zaczęła się doń przymilać i prosić:

— Powiedz, o mój braciszku, w czem jest twoja siła?

— Tego ci powiedzieć nie mogę, bo nic ci po tem!

— Widzisz, czasami tak się zaturbuję, w czem ty siłę masz, że aż mi się słabo robi.

Ale on nie chciał wyjawić tajemnicy. Ona prosi i prosi, tak go molestowała, że dla świętego spokoju, rzekł:

— W tej szabli, którą mi ojciec dał przed śmiercią.

Wtedy ona powiada:

— Mój braciszku kochany, takiś czarny, takiś brudny, wykąp się!

I zrobiła muu kąpiel, bo chciała, żeby tylko szablę od siebie odłożył.

A kiedy ją odpiął, prędko szablę złapała, wyskoczyła z pokoju, zamknęła drzwi i krzyczy na cały głos:

— Teraz on już nasz! Hej, zbójcy bywajcie!

Kiedy zbójcy wpadli z wielkim trzaskiem, poznał Jan, że im nie poradzi. Był słaby tak, jak inni ludzie. A tamci pokpiwali sobie z niego i pokazywali mu szablę zdaleka.

— Tu jest twoja siła, tą szerpentyną głowę ci zetniemy za naszą krzywdę. Już się pożegnaj ze światem.

Jan zaś na to:

— Nie dajcie mi umierać, jak jakiemu bydlęciu. Pozwólcie trochę czasu, abym się mógł pomodlić, grzechów pożałować.

— Módl się — odpowiedział najstarszy zabójca — i tak zginiesz.

Tylko siostra się sprzeciwiała:

— Róbcie co macie robić, nie rozprawiajcie się z nim długo.

— Już go się nie boimy, niech się modli.

Pomodlił się i znowu tak mówi:

— Pozwólcie mi jeszcze przed śmiercią zagrać na mojej piszczałce psalm pokutny.

Podali mu piszczałkę.

A siostra znowuż swoje:

— Nie róbcie tego, czego on chce, bo nie wiadomo co z tego wyjdzie.

— Cóż może wyjść? My miecz nad jego głową trzymamy.

Zagrał Jan na piszczałce i znowuż obudził się zając i woła na tamte zwierzęta:

— Wstawajcie, bo nasz pan w biedzie!

— Prawda że w biedzie — odpowiedział smok — i to w dużej.

I wierne zwierzęta skoczyły mocnemu Janowi z pomocą.

Jakże się bardzo przestraszyli zbójcy, kiedy koło swego pana stanęli, jak wojsko: zając, lis, wilk i smok olbrzymi. Teraz mocny Jan był znowuż nad zbójcami górą, a zwierzęta złożyły sąd nad nimi.

Ale kogoż tu robić sędzią?

Wnet zgodzili się wszyscy, że zając ma ogłosić wyrok w tej sprawie wedle swojego zajęczego sumienia.

A on tak powiedział:

— Wy zbójcy, toście z piekła rodem, a wasza mać zapora od piekła — to jedno i jednaka będzie wasza kara. Niechaj smok, który ma siłę największą chwyci jednego zbójcę za drugim i niech ich nad lasem ciśnie tak mocno, żeby spadli siedem mil stąd. Tym sposobem zbójcy nim jeszcze na ziemię spadną w powietrzu ducha stracą i śmierć będą mieli lekką!

Smok wziął się zaraz do roboty i jeden zbójca po

drugim leciał w górę, a na ostatku poleciała ich matka.

Potem zając przemówił do złej siostry:

— Tyś siostro ze wszystkich najgorsza, tobie się srogie należą męki. Powieście ją do góry nogami i niech tak długo wisi, aż umrze.

A kiedy mocny Jan zaczął za nią bardzo prosić, zając dodał jeszcze:

— Postawcie pod nią kotlik, a skoro pełen kotlik łez napłacze, przyjdziemy i wyswobodzimy ją.

Potem opuścili pałac wspaniały i szli daleko, bardzo daleko, aż zaszli do jednego, wielkiego miasta.

Dziwne im się to wydało to miasto. Piękne było, wspaniałe, ale całe pokryte żałobą. Ulice wysłane czarnem suknem, domy w żałobnych zasłonach. Pałac królewski jak katafalk z płonącemi gromnicami wyglądał, a na wszystkich wieżach czarne chorągwie.

Kiedy mocny Jan szedł przez miasto wszyscy uciekali, bojąc się zwierząt, ale on mówił:

— Nie bójcie się, bo one potulne!

I pyta się:

— Powiedźcie lepiej, dlaczego u was taka żałoba?

— Tu koło naszego miasta żyje smok wielki, jak skała, ze trzydziestu głowami, trzydziestu ogonami i dwoma skrzydłami. Ten smok musi dostać co roku jedną pannę na pożarcie, bo inaczejby w całym kraju woda wyschnęła i ludzie pomarliby z pragnienia. W tym roku właśnie padł los na ostatnią córkę królewską i dlatego taka wielka w mieście żałoba. Król kazał wprawdzie zwołać najmądrzejszych doktorów, najbardziej uczonych mędrców i najdzielniejszych rycerzy, ale nikt nie umie nic poradzić, chociaż król obiecał, że kto smoka zabije i królewne wybawi, ten ją samą za żonę dostanie i w posagu otrzyma połowę królestwa

Kiedy tak rozmawiał, rozległ się wielki płacz w całem mieście, bo już królewnę wieźli smokowi na

pożarcie. Zdaleka widać było, jak po czarnej drodze pędziła pozłocista karoca w sześć białych koniach zaprzężona.

A mocny Jan mówi do swoich zwierząt:

— No cóż poradzimy smokowi, co ma trzydzieści głów, trzydzieści ogonów i dwa skrzydła?

A one odpowiedziały:

— Poradzimy!

Polecieli prędko pod górę aż do smoczej jamy, koło której stała mała kapliczka.

W tej kapliczce modliła się królewna po raz ostatni przed śmiercią. Wyszła stamtąd bledziuchna, łzami zalana i ledwo trzymała się na nogach. Jakże się zdziwiła, kiedy zobaczyła młodzieńca o pięknej postaci, około niego zaś dzikie zwierzęta.

— Cóż ty tu robisz młodzeniaszku? Uciekaj, jak najprędzej z tego nieszczęśliwego miejsca, bom ja tu na śmierć przyszła i tybyś mógł razem ze mną zginąć.

— Najjaśniejsza królewno — odpowiedział mocny Jan — jam jest ten, który ciebie od śmierci wybawi.

Nie mogła w to uwierzyć, ale oto już nadeszła godzina, w której smok się ukazywał.

Zadrżała ziemia i ukazało się trzydzieści głów straszliwych i trzydzieści ogonów ze wściekłością uderzało po ziemi.

A kiedy smok zobaczył młodego rycerza zawołał:

— O mocny Janie! tyś jeszcze w matczynem żywocie był, kiedym wiedział, że z tobą walczyć będę. My się tu wnet spróbujemy!

Zaraz rzuciły się na siebie dwa smoki. I choć ten miał tylko sześć głów, a tamten trzydzieści, srodze się jednak ze sobą szamotały. Skoczył i mocny Jan. Co utnie szablą, to jedna odpada głowa. Ale od jadowitej posoki znowu się zrastały i jeszcze bardziej biją. Wtedy rzuciły się wszystkie zwierzęta i

zaczęły na bok odnosić to, co odcięte. Smok zaczął już słabnąć i woła:

— Pardon!

Ale zwierzęta odpowiedziały:

— Nie pardon, ino od razu.

I tak go wszyscy razem zabili. Mocny Jan wyciął z każdej głowy po języku, po jednej spodniej brwi i schował to wszystko do torby.

Teraz już królewna była wybawiona. Śmiała się, w rączki klaskała, a potem pyta:

— A czegoż żądać będziesz rycerzu za to, czego dokonałeś?

— Ty wiesz jaka jest obietnica twojego ojca. Czy zechcesz mnie zaślubić?

— Nie raz, a dziesięć razy! — odpowiedziała królewna.

I zdjęła z palca pierścień złoty i dała mu go. Potem usiedli koło siebie i rozmawiali o swojem szczęściu.

Kiedy tak gwarzyli ze sobą, usnęli oboje, on z wielkiego zmęczenia, ona bo wiele strachu wycierpiała.

Czuwały koło nich zwierzęta: zając, lis wilk i smok. Ale wreszcie lis powiada:

— Teraz nasz pan ma wszystko, czego mu potrzeba. Chodźmy poweselić się trochę do lasu, bo jemu nic złego stać się nie może.

Ale zając żadną miarą nie chciał się zgodzić.

— Niech chociaż jeden z nas zostanie na straży!

Został wilk. Pilnował ich jakiś czas, ale potem i jego sen zmorzył.

Tymczasem król, kiedy się wszystko uciszyło, wysłał swojego najmilszego sługę, żeby zobaczył, co się stało. A ten sługa to był człowiek niegodziwy i zazdrosny. Przyjechał do smoczej jamy i bardzo zdziwiony zobaczył trzydzieści głów odrąbanych,

a obok królewnę i mocnego Jana, śpiących koło siebie. Niewiele myśląc wyciągnął szablę i odciął mu głowę, królewnę zaś obudził i tak jej powiedział:

— Teraz królewno musisz mi przysiąc, że mnie za męża weźmiesz i powiesz wszędzie, że smok z mojej zginął ręki, bo inaczej, to ci tu zaraz życie odbiorę.

Cóż miała zrobić biedaczka? Biedna, zestrachana nie chciała z jednej śmierci do drugiej iść, więc przysięgła na honor królewski, że o tem, co się stało, nikomu ni powie. Sługa wziął ze sobą smocze głowy, wsiedli do kolasy i wrócili razem do królewskiego pałacu. Wielka tam była uciecha z wybawienia królewny, tylko ona jedna więcej płakała niż się śmiała. A kiedy ją pytali dlaczego płacze, powiedziała, że z wielkiej radości, bo przysięgi złamać nie chciała. Był tam też taki uczony kos, któremu się od gwizdania i śpiewania dziób nigdy się nie zamykał, ale od tej chwili ptak nie wydał z siebie żadnego głosu.

Sługa zaś opowiadał wszystkim o swojej walce ze smokiem i na dowód pokazywał trzydzieści łbów. Wszyscy je oglądali i dziwili się, skąd takiego chudo pachołka stać było na tyle odwagi. Nie mogli tylko zrozumieć dlaczego ten smok nie miał ani jednego języka.

Tymczasm zwierzęta wróciły z lasu i zobaczyły swojego pana z odrąbaną głową. Zaraz krzyczały na wilka. dlaczego tak źle wartował.

Smok zaczął go bić, a lis powiada:

— Zamiast się kłócić i bić, radźmy lepiej co robić?

Radzili i nic nie mogli uradzić, aż wreszcie zając powiada:

— Tu nic innego nie pomoże tylko to ziele, którem zbójecka matka wskrzesiła synów.

— Ale któż tam pójdzie? — zapytał wilk. — To jest bardzo daleko.

Niedaleko od nich płynęła szeroka rzeka. Zwierzęta uradziły, że kto tę rzekę przeskoczy, ten pójdzie do zbójeckiego pałacu po cudowne ziele.

Najprzód skoczył smok, ale nie doskoczył do brzegu i musiał się wrócić. I lis i wilk nie dosięgnęli także drugiej strony i przypłynęli z powrotem, tylko zając jednym dobrym susem hycnął na tamten brzeg i powiedział do nich:

— To ja z was najsłabszy muszę iść w tak daleką drogę. Tam strzelcy będą mi chcieli życie odebrać, tam dzikie zwierzęta i drapieżne ptaki będą na mnie czyhały, ale zdam się na wolę Boską i pójdę.

I poszedł. Po długiej wędrówce dostał się nareszcie do zbójeckiego pałacu i znalazł ziele, któremi zbójecka matka przywróciła życie synom. Znalazł też i Anusię, ale ona dawno już nie żyła i tylko pół kotlika łez napłakała. Wracał pędem przez wiele dni i tygodni, aż wreszcie doleciał do tego miejsca, gdzie leżał mocny Jan z odrąbaną głową. Wszystkie zwierzęta czuwały koło niego, ale najlepiej wartował wilk, tak teraz wartował, że aż się trząsł. Wzięli zaraz cudowne ziele smok pocierał, a wilk przykładał i tak przyłożył głowę, że ręce były na przodzie, a głowa w tyle. Mocny Jan wstał, przeciągnął się i tak gada:

— Tak mi się dobrze spało, że mi się wszystko na opak poobracało.

Smok wziął tedy szablę i uciął mu znowu głowę, potem wilk tylko trzymał, a smok pocierał i przykładał i dobrze przyłożył.

Zwierzęta opowiedziały mu wszystko, co się stało. Potem poszli do miasta, a w mieście dudni muzyka, wszędzie białe chorągwie i zielone wieńce.

Poszli do jednej gospody, a mocny Jan pyta karczmarza:

— Cóż to u was dzisiaj za święto?

— A to sześć miesięcy i sześć niedziel upłynęło od tego czasu, kiedy nasza królewna została wybawiona od smoka. Zabił go sługa królewski i dzisiaj właśnie będzie ich wesele. Ale są trzy sprawy, których nikt nie może zrozumieć. Po pierwsze, że ten smok nie miał języków i spodnich brwi, po drugie, że królewna ani jednego dnia nie była wesoła, tylko wciąż płacze i płacze, po trzecie, że uczony kos, który dotąd cały dwór swoiem gwizdaniem bawił, od tego czasu ani dzioba nie otworzył. I nawet nie wiemy, kiedy ślub się odbędzie. Najpierw miał być o dziewiątej rano,potem go królewna do jedenastej godziny odłożyła, a o jedenastej do trzeciej popołudniu.

Mocny Jan usiadł za stołem i powiada do karczmarza:

— Kiedy u króla na zamku jest wesele, to muszą mieć tam coś dobrego do jedzenia i picia. Żeby tak kogo do nich posłać, toby się nam coś dostało.

— Nie plećcie człowieku głupstw, — odpowiedział karczmarz — skądżeby oni tam mieli coś z pałacu posłać. My dla nich za mali ludzie, tam sami królowie i książęta za stołem siadają.

— A ja mogę się o nie wiem co założyć,— zawołał mocny Jan — że nam nie odmówią!

Zawołał zająca i wsadził mu w pyszczek kartkę, na której napisał, że prosi o kapkę i kruszynkę z królewskiego stołu. A tę kartkę zapieczętował pieczęcią, która była na złotym pierścieniu.

Kiedy zając przyleciał do pałacu, przeskoczył wartę, wpadł do biesiadnega stołu i położył karteczkę koło królewny. Ona zobaczyła na pieczęci znak swego pierścienia i otworzyła pismo. Kiedy za-

częła je czytać, zemdlała z wielkiej radości, a kos zaczął śpiewać:

— Na wszystkich zdrajców zły koniec przyjdzie.

Król dźwignął córkę i pyta, co się jej stało, a ona mówi:

— Tak się cieszę z mojego wesela!

Tylko sługa królewski zbladł i ledwo siedział za stołem, a wszyscy patrzyli na niego.

Królewna kazała dać zającowi tyle jadła i napitku, ile tylko mógł udźwigać. I posłała także żołnierza, żeby patrzył, gdzie zając poleci. Ale zając tak szybko uciekał, przeskakiwał groble i płoty, że zaraz stracił mu się z oczu i przyleciał do karczmy. Wystawili na stół wszystko, co królewna dała i zaczęli popijać a zajadać smacznie. Karczmarz bardzo się dziwił, a Jan rzekł:

— Teraz poszlemy lisa, on jest mocniejszy i więcej przyniesie.

I lis pobiegł na zamek. I jego poznała królewna i dała mu tyle, ile uradził.

Trzeciego posłał wilka, a nareszcie i smoka. Kiedy ten zjawił się w pałacu, królewna prosiła ojca, żeby posłał za nim najszybszego biegacza. I dopiero ten biegacz, trzymając się śladów smoka, zobaczył nareszcie do której karczmy on wszedł.

Teraz królewna kazała zaprząc do złotej karety sześć koni i jechała po swojego najmilszego. Ojcu zaś powiedziała, że przywiezie jeszcze jednego gościa, który godzien jest być na jej weselu.

Wnet złota kareta stanęła przed karczmą. Z wielką radością witali i młody rycerz jechał razem z królewną do zamku. Zając wtarabanił się na dyszel, smok końmi powoził, wilk w karecie przy nich, a lis z tyłu, tam gdzie lokaj siada. Konie leciały, jak wicher, bo jeszcze takiego woźnicy nie miały, takich gości nie wiozły.

Zdumieli się wszyscy, kiedy królewna weszła razem z nieznanym nikomu młodzieńcem. On się skłonił i śmiało przemówił do sługi, który miał królewskim zięciem zostać:

— Powiedz, co się ma stać z takim, który króla ołgiwa, a niewinnych ludzi potajemnie morduje?

— Trzeba go — odpowiedział sługa — rozszarpać żelaznemi bronami na rozstajnych drogach.

— To twoja kara, — zawołał mocny Jan — boś ty tak uczynił. Smoka ja zabiłem, a tyś mi śpiącemu głowę odrąbał.

— Jaki masz dowód na to, — zapytał ze śmiechem szyderczym przewrotny człowiek — ty, który z odrąbaną głową chodzisz po świecie, bo ja mam łby smocze, co je moja straciła ręka.

— Jeśliś ty zabił smoka, to powiedz, gdzie są jego języki i spodnie brwi?

Na to nic rzec nie umiał, a mocny Jan wyciągnął z torby to, co smoczym łbom brakowało i wszyscy poznali, że mówi prawdę, a król wskazał na swojego sługę:

— Weźcie go i oddajcie w ręce kata, niech się tak stanie, jak sam siebie osądził!

I było potem drugie, jeszcze huczniejsze wesele. Wszyscy się cieszyli i kos ciągle gwizdał.

A kiedy mocny Jan został królewskim zięciem i kiedy zaszedł już tak wysoko, że wyżej nie można, kiedy był bezpieczny, mocny i bogaty, przyszły do niego owe zwierzęta: smok, lis, wilk i zając i tak powiedziały:

Myśmy tobie pomagały przez długi czas w każdej trwodze, w każdem nieszczęściu. Byłyśmy zawsze wierni i zawsze gotowi, tak w dzień, jak i w nocy.

— To prawda — powiedział młodzieniec — i dlatego moje serce i wszystko, co posiadam jest dla was.

— A więc nam pomóż i zrób to, czego żądać będziemy.

— Jakżebym wam mógł czegoś odmówić?

A owe zwierzęta byli ludźmi, którzy w takiej właśnie postaci musieli pokutować tak długo, aż wysłużą sobie zbawienie.

I powiedziały do niego:

— Weź teraz swoją szablę ostrą i zetnij nam głowy!

— Tego ja żadnym sposobem uczynić nie mogę, — odpowiedział mocny Jan — wyście mnie tyle razy ratowały życie i zdrowie, a jabym miał was ściąć za to. Nie, tego zrobić nie mogę!

Ale zając odpowiedział:

— Jeśli chcesz nam dopomóc, to musisz nas ściąć, bo inaczej nie możemy być zbawieni.

Kiedy mocny Jan z ciężkiem sercem przyrzekł to uczynić, zając powiedział jeszcze:

— Skoro nam głowy zetniesz, spal nasze ciała, a popiół zasiej w ziemi. Z tego popiołu wyrosną cztery kwitnące drzewa. Te spal znowu i znowu zasiej popiół w ziemi. A jeśli wyjdzie z niej gwiazd dwanaście, to będzie znak, że nasza pokuta się skończyła i żeśmy zostali zbawieni.

Mocny Jan zrobił tak, jak mu zwierzęta kazały. Pościnał im głowy, spalił ich ciała, spalił drzewa kwitnące, które z ich prochów wyrosły i zasiał znowu popiół w ziemi. I zeszło dwanaście jasnych gwiazd. Jedna była zajęcza, dwie lisie, trzy wilcze, a sześć było smoczych. To był znak, że pokuta zwierząt się skończyła.

I bajka skończyła się także.

SINOBRODY.

Żył raz pewien pan bogaty, który posiadał piękne pałace w mieście i na wsi, srebrne i złote zastawy, śliczne meble, wspaniałe kobierce i pozłociste karoce, ale na nieszczęście pan ów nosił paskudną, siną brodę. Był on wskutek tego tak brzydki i odrażający, że wszystkie kobiety, wszystkie dziewczęta uciekały od niego.

Jedna z jego sąsiadek, pani szlachetnego rodu, miała dwie nadzwyczaj urodziwe córki. Sinobrody prosił o rękę jedną z nich i gotów był pojąć za żonę tę, którą mu dadzą. Ale one obie nie miały ochoty na to małżeństwo i jedna odsyłała go do drugiej. Przerażało je jeszcze i to, że wiele już kobiet, znęconych jego dostatkiem zaślubiło go, ale nikt nie wiedział, co się z niemi stało.

Sinobrody chcąc zawrzeć bliższą znajomość z pięknemi pannami, zawiózł je wraz z matką i kilkoma przyjaciółkami do swojego wiejskiego pałacu, gdzie całe towarzystwo przez osiem dni z wielkim przepychem podejmował. Cały ten czas upłynął na miłych spacerach, ochoczych polowaniach, na balach i wspaniałych zabawach. Nie było nawet czasu na sen, bo noce spędzano na wesołych grach i wszelkich rozrywkach. I wreszcie tak dobrze się wszystko ułożyło, że młodszej pannie poczęła się wydawać broda gospodarza coraz mniej sina, a jego charakter coraz to bardziej szlachetny.

Zaraz po powrocie do miasta odbył się ślub.

Po upływie miesiąca oświadczył Sinobrody swej żonie, że bardzo ważny powód zmusza go do podróży, która potrwa co najmniej sześć miesięcy. A jeśli ona ma ochotę, może zaprosić swoje przyjaciółki, aby ją odwiedziły na wsi i aby zabawiły się razem.

I wręczył jej Sinobrody pęk kluczy.

— Tu oto — rzekł do niej — są klucze od dwuch wielkich sal, w których znajdują się najrozmaitsze meble, zapomocą tych znowuż wydobędziesz złote i srebrne zastawy, w dniach uroczystych używane, tamte otworzą skrzynie z mojemi klejnotami, to zaś jest klucz do wszystkich pokojów. Co się zaś tyczy tego małego kluczyka, nim własnie odmyka się mały pokoik na końcu wielkiej galerji, nad dolnem piętrze. Pozwalam ci otworzyć wszystko i wejść wszędzie, ale zabranam ci surowo, gdyby ci myśl taka w głowie zaświtała, otwierać ten mały pokoik. Wówczas bowiem nie uniknęłabyś mojego gniewu i straszliwej kary.

Ona przyrzekła, że zastosuje się w zupełności do jego rozkazu, on zaś objął ją, ucałował, potem wsiadł do powozu i odjechał.

Ciekawe sąsiadki i dobre przyjaciółki przybyły do niej czemprędzej, pragnąc obejrzeć dokładnie wszystkie skarby, którym nie zdążały poprzednio się przypatrzeć, bo sina broda pana domu budziła w nich nieopisany lęk. Biegały teraz z zapałem po wszystkich pokojach, salach i gabinetach, zaglądały do wszystkich schowanek i kryjówek. Jedno od drugiego wydawała im się piękniejsze i wspanialsze. Wtargnęły wreszcie i tam, gdzie przepyszne łóżka, stoły, kobierce i wszelakie meble czekały swojej kolei. Raz po raz wybuchały wyrazami podziwu i nie kryły się z zazdrością wobec szczęścia ich przyjaciółki. Ale jej nie cieszył widok tych wszystkich skarbów, pożerało ją bowiem niecierpliwe pożądanie otwarcia

małego pokoiku. Jej ciekawość była tak wielka, że nie bacząc nawet na niestosowność opuszczenia towarzystwa, zbiegła szybko po tajemnych schodkach i to z takim pośpiechem, że kilka razy o mało sobie nóg nie połamała. Zatrzymała się przed drzwiami małego pokoiku i zaczęła myśleć nad tem, jaka kara może ją czekać za nieposłuszeństwo i nieuszanowanie rozkazu pana męża. Ale pokusa była tak wielka, że jej przezwyciężyć nie zdołała. Chwyciła tedy mały kluczyk i drżącą ręką otworzyła drzwi tajemnicze.

Z początku nie zdołała nic zobaczyć, bo okiennice były zamknięte. Po kliku jednak chwilach ujrzała podłogę krwią skrzepłą pokrytą, a w tem strasziwem zwierciedle odbijały się ciała kilku zamordowanych kobiet, wzdłuż ściany przytwierdzonych. Były to właśnie wszystkie żony Sinobrodego, które po kolei na tamten świat wyprawił.

Zdawało się jej, że umrze chyba ze strachu i wówczas właśnie kluczyk, którym drzwi otwierała, wyślizgnął się jej z ręki i upadł na zakrwawioną podłogę. Kiedy odzyskała przytomność umysłu, podniosła klucz, zamknęła drzwi z powrotem i poszła do swojego pokoju, aby tam pokrzepić się nieco. Napróżno jednak, podniecenie i lęk nie ustawały.

Skoro zaś spostrzegła, że kluczyk jest okrwawiony, poczęła go zaraz wycierać, ale ślady krwi nie schodziły. Ach, mogła go myć ile razy chciała, mogła szorować piaskiem i żwirem, krew nie znikała, ten kluczyk bowiem był zaczarowany i nie było takiego sposobu, żeby go zupełnie oczyścić! Kiedy usunęło się krew po jednej stronie, pojawiła się po drugiej.

Jeszcze tego samego wieczora wrócił Sinobrody z podróży i powiedział, że w drodze otrzymał listy, donoszące mu, iż sprawa, z powodu której wyjechał, została już pomyślnie załatwiona. Jego żona czyni-

ła wszystko, co było w jej mocy, aby go przekonać, że jest zachwycona tym spiesznym powrotem.

Na drugi dzień zażądał od niej kluczy. Podała mu je tak drżącą ręką, że bez trudu odgadł to, co się stało podczas jego nieobecności.

— Cóż to ma znaczyć — rzekł do niej — że niema tu kluczyka od małego pokoiku?

— Widocznie zostawiłam go u siebie na stole — odpowiedziała.

— Nie zapomnij — zawołał Sinobrody — przynieść mi go jaknajprędzej.

Zwłóczyła jak mogła, ale wkońcu musiała spełnić życzenie męża.

Kiedy Sinobrody obejrzał go dokładnie, powiedział do swojej żony:

— Dlaczegoż to widać na nim krew?

— Nie wiem nic o tem — odpowiedziała biedna kobieta i zbladła śmiertelnie.

— Ty nie wiesz? — odrzekł Sinobrody — ale ja wiem wszystko. Chciałaś wejść do pokoiku! Dobrze, moja pani, wejdziesz do niego, znajdzie się tam dla ciebie miejsce obok tych dam, które widziałaś!

Zalewając się łzami padła do jego nóg, objawiła prawdziwy żal i błagała go, aby jej przebaczył nieposłuszeństwo. Poruszyłaby głaz twardy, tak piękna była i tak pełna skruchy, ale serce Sinobrodego było oporniejsze od kamienia.

— Musisz umrzeć, moja pani — rzekł do niej — i to natychmiast.

— Jeśli mam umrzeć, — zawołała, zwracając ku niemu twarz łzami zalaną — to przynajmniej daruj mi trochę czasu, abym mogła odmówić ostatnie pacierze.

— Udzielam ci pół kwadransa, — odpowiedział Sinobrody — ale ani jednej chwili dłużej.

Kiedy została sama, przywołała swoją siostrę i tak rzekła do niej:

— Kochana siostro Anno (tak się bowiem ona nazywała), proszę cię wejdź na szczyt wieży i zobacz, czy moi bracia nie nadjeżdżają już? Przyrzekli mi bowiem, że dzisiaj przybędą do mnie w odwiedziny. A kiedy ich ujrzysz, zrób znak, aby się pospieszyli.

Siostra Anna weszła na szczyt wieży, a biedna, nieszczęśliwa kobieta wołała raz po raz:

— O Anno, kochana siostro Anno, czy nie widzisz, aby ktoś się zbliżał?

A siostra Anna odpowiadała jej:

— Nie widzę nic więcej, jak tylko słońce, płonące wśród pyłu i zieleni łąk.

A tymczasem Sinobrody krążył już z olbrzymim kordelasem w ręku i krzyknął potężnym głosem:

— Schodź czemprędzej no dół, albo ja przyjdę na górę!

— Jeszcze chwileczkę, błagam cię — wołała biedna pani.

I zaraz pytała cichutko:

— O Anno, kochana siostro Anno, czy nie widzisz, aby ktoś się zbliżał?

A siostra Anna odpowiedziała jej:

— Nie widzę nic więcej, jak tylko słońce płonące wśród pyłu i zieleń łąk.

— Szybko schodź na dół — krzyczał Sinobrody — albo ja wejdę do ciebie na górę.

— Już schodzę, — odpowiedziała mu żona.

I znowu wołała:

— O Anno kochana siostro Anno, czy nie widzisz, aby ktoś się zbliżał?

— Widzę — odpowiedziała siostra Anna — wielką chmurę kurzu, która porusza się w naszą stronę.

— Czy to moi bracia?

— Ach nie, kochana siostro, to tylko trzoda owiec!

— Czy zejdziesz nareszcie? — krzyknął Sinobrody.

— Jeszcze chwileczkę — odpowiedziała żona.

I znowu wołała:

— O Anno, kochana siostro Anno, czy nie widzisz, aby kto się zbliżał?

— Widzę dwóch jeźdźców jadących w naszą stronę, ale są oni jeszcze bardzo daleko.

— Bogu niech będą dzięki — zawołała po chwili — to nasi bracia. Zrobię znak, jak tylko najlepiej potrafię, aby przybywali czemprędzej.

Wtem Sinobrody począł krzyczeć tak gwałtownie, że aż cały dom zadrżał. Nieszczęsna kobieta zeszła na dół, rzuciła mu się do nóg, zalana łzami, z rozpuszczonemi włosami!

— To wszystko nic nie pomoże, — rzekł Sinobrody — musisz umrzeć.

Potem chwycił ją jedną ręką za włosy, a w drugiej błysnął nóż, którym miał jej odciąć szyję.

Nieszczęsna kobieta odwróciła się do niego, spojrzała gasnącem oczyma i poczęła go jeszcze raz błagać, aby pozwolił jej choć przez chwilkę zebrać siły.

— Nic z tego, — zawołał — oddaj swą duszę w ręce Boga.

I wzniósł ramię...

W tej chwili rozległo się tak gwałtowne pukanie do bram, że Sinobrody nagle zatrzymał się. Rozwarły się wrota i oto ukazało się dwóch jeźdźców, którzy rzucili się odrazu z wyciągnętemi rapierami na Sinobrodego. Poznał, że to są bracia jego żony, jeden z nich był muszkieterem, a drugi dragonem. Natychmiast począł w ucieczce szukać ocalenia, ale obaj bracia ścigali go zawzięcie i dosięgli, zanim zdołał do-

stać się do tajemnych schodów. Dwa rapiery przeszyły jego ciało i zadały mu śmierć natychmiastową.

Nieszczęsna pani —leżała bez życia tak, jak jej małżonek i nie miała dość siły, aby się podnieść i uściskać swoich wybawicieli.

Potem okazało się, że Sinobrody nie miał żadnych spadkobierców, i wobec tego cały majątek dostał się żonie. Część z tego użyła, aby siostrę Annę wydać za młodego szlachcica, który ją już od dawna kochał. Za część drugą kupiła dla swoich braci kapitańskie rangi. A resztę zachowała dla siebie, aby pojąć za męża człowieka uczciwego i szlachetnego urodzonego.

W ten sposób mogła rychło zapomnieć o tych straszliwych chwilach, które przeżyła z Sinobrodym.

O TRZECH SIŁACZACH.

Daleko ode wsi pod lasem w chacie ubogiej żyło dwoje ludzi na małej gospodarce. Ziemia była licha, więc musieli pracować na kawałek chleba od świtu do wieczora. Ale najwięcej się tem martwili, że ich Pan Bóg dziećmi nie obdarzył. Aż jednego razu ta kobieta poszła do spowiedzi, wyspowiadała się i pyta się księdza, dlaczego to nie może mieć dziecka. Ksiądz zaś jej powiedział, że kiedy będzie wracała z kościoła do domu, to się będzie taczał przed nią taki groszek, a jeżeli go zje, urodzi się jej dziecko. I tak się stało.

W niedługi czas potem zległa i przyszedł na świat syn, którego na pamiątkę dziwnego wydarzenia nazwali Toczygroszkiem. Przez siedem lat ssał pierś matki, rósł bardzo prędko i był wtedy bardziej krzepki od najsilniejszego człowieka we wsi. Wreszce wyrósł na wielkiego mocarza. Kiedy porwał wołu, to mógł go sobie na plecy zarzucić, a każde drzewo wyrywał z korzeniami. Ludzie nic jeszcze nie wiedzieli o jego sile, aż jednej niedzieli powiada on do rodziców:

— Wszyscy chodzą do karczmy, weselą się, hulają, wywijają z dziewczynami, a ja ciągle siedzę w domu. Pójdę się także zabawić!

Kiedy przyszedł do karczmy było tam wiele ludzi. Jedni tańczyli, drudzy gwarzyli sobie przy kwaterce gorzałki. Toczygroszkowi podobały się dziew-

częta. Młode były, wesołe i skore do tańca. Uśmiechnął się do nich, a one uśmiechnęły się do niego. Parobcy, zaś, jak parobcy, zaczęli się z niego kpinkować, a jeden nawet ściągnął mu czapkę z głowy i cisnął o ziemię. Toczygroszek, aż poczerwieniał na twarzy ze złości i krzyknął tak strasznie, że się cała karczma zatrzęsła, jakby wicher w nią uderzył. Zlękli się parobcy i nie śmieli nic powiedzieć, kiedy im wszystkm kapelusze ze łbów pościągał. Zmiął je w swoich potężnych rękach, dźwignął w górę węgieł karczmy i tam je wsadził. Dopiero musieli go udobruchać i pokornie prosić, żeby znowu podniósł węgieł, bo choć się wszyscy wzięli do tego, ne mogli uradzić. Potem już nikt nie śmiał go oszydzać. Wszedł do izby, gdzie grali muzykanci i kiedy zobaczył jak inni wytańcowują, wzięła i jego ochota. Najbardziej podobało mu się przytupywanie i krzesanie ognia podkówkami. Jak chwycił dziewczynę w pół, to choć ją leciusienko trzymał, o mało co jej żeber nie połamał. A jak załoczył młyńca, jak podskoczył i tupnął raz, drugi, to wszystkie deski w podłodze połamał i całą zabawę popsuł.

Potem znowu widział, że kiedy się ludzie popiją, to biją rękami po ścianach. Upił się więc i taksamo próbował, ale zaraz całą ścianę rozwalił. Zrobił się wielki gwałt i wszyscy uciekli z karczmy.

Od tego czasu każdy się go lękał i omijał zdaleka. Trudno mu było pokazać się między ludźmi. Wreszcie zgodził się do takiej roboty, co to trzeba duże kamienie na drobne łamać. Kiedy inni chłopi tłukli kamienie młotkami, on kruszył je w rękach. Zobaczył go tak pracującego bogaty pan, który przejeżdżał drogą i rzekł do swojego sługi:

— Ej wiesz ty co, przydałby się nam taki mocny parobek!

Pojechali do niego i pytają czyby się nie zgodził na służbę, a on powiada:

— Czemu nie, bylebym miał zawsze tęgą robotę.

— No to siadaj, pojedziesz z nami! — mówi pan. Ale on nie chciał.

— Nogi mam zdrowe, wolę iść niż jechać!

Szedł za powozem i trzymał się żelaznych prętów z tyłu. Kiedy konie ciągnęły pod górę, to popychał, tak, że ciężaru wcale nie czuły, a kiedy pędziły z góry na dół, trzymał mocno i musieli jechać tak, jak on chciał. Skoro przybyli do pańskiego dworu, powiedzieli mu, żeby woził drzewo z lasu. Wtedy on kazał sobie zrobić żelazny wóz i zaprzągł do niego cztery woły. Czterem koniom obciął grzywy i ogony, ukręcił sobie z nich bicz a kiedy jechał i strzelał z niego, to wszędzie okna aż zberczały. W lesie zostawił wóz, a sam poszedł i szukał największego dębu—wyrwał go z korzeniami, a kiedy przyciągnął drzewo do wozu, zobaczył, że mu wilki i niedźwiedzie pozjadały woły.

— Kiedyście takie — powiedział — będziecie same ciągnęły.

Skoczył w las, schwytał dwa niedźwiedzie, dwa wilki, przywiódł je i założył do wozu.

Kiedy przyjechał do domu, wszyscy sę ogromnie wylękli, zobaczywszy taki zaprząg. I tak go się bali, że nikt z nim ani gadać nie chciał ani dać mu jakiejś roboty. Więc Toczygroszek wrócił do domu i powiada do matki:

— Teraz pójdę wędrować po świecie, ale wpierw muszę zobaczyć, czy jestem już dosyć silny?

Poszedł do kowala i kazał zrobić sobie kij z sześciu fur żelaza, przyniósł ten kij do domu, stanął przed chałupą, rozmachnął się i cisnął go w górę, tak, że leciał aż popod chmury, popod niebiosa. Sam zaś położył się do łóżka i mówi do matki:

— Kiedy słychać będzie wielki szum, obudźcie mnie, bo to mój kij będzie już spadać.

Minęło dobre dwie godziny, aż tu powstał wielki wiatr i matka obudziła Toczygroszka, który wyskoczył przed chałupę i wystawił rękę naprzód. Żelazny kij padł i stanął prosto na dłoni, która nawet nie drgnęła. Wtedy poszedł jeszcze raz do kowala i kazał sobie zrobić żelazny kapelusz, żelazny pas, żelazny kaftan, żelazne buty i żelazne portki. Każda rzecz ważyła siedem centnarów. Włożył to wszystko na siebie i skoczył w góry. Rozległ się chrzęst żelaza i ziemia jęknęła głucho, a on zawołał:

— Zuch jestem!

I poszedł w świat.

Szedł długo, aż zaszedł w olbrzymi bór. Tam ujrzał wielkiego chłopa, który wyrywał drzewa z korzeniami i składał je na jedną kupę.

— Coś ty za - jeden i co robisz? — zapytał Toczygroszek.

— Jestem Wyrwidąb, — odpowiedział tamten — rwę marchew. Chodź, wyrwij sobie także jedną.

— Mógłbym to zrobić, ale mi się nie chce. Chodź ty lepiej i pokaż jak wysoko potrafisz rzucić w górę moim kijem żelaznym.

— Nie mam na to wcale ochoty, — odpowiedział Wyrwidąb — ale jeżeli jesteś taki mocny, to możemy się spróbować.

Wzięli się ze sobą za bary i wodzili tak zapamiętale, że aż po kolana zapadli się w ziemię. Wreszcie zwyciężył Toczygroszek i powalił Wyrwidęba na ziemię.

— Jestem silniejszy od ciebie, — rzekł — ale żądam tylko, żebyś szedł razem ze mną na wędrówkę.

Szli, szli, aż wyszli z lasu na pole. Tam zobaczyli trzeciego siłacza, który podniósł całą górę i ruszał nią na wszystkie strony.

— Kto jesteś — zapytali — i co robisz?

— Jestem Waligóra — odpowiedział tamten — i równam pole, bo mam taką siłę, że mogę każdą górę rozerwać na pół. Chodźcie i róbcie to samo, jeśli potraficie.

A kiedy nie chcieli, rzekł znowu.

— Niech więc jeden z was spróbuje się ze mną!

Toczygroszek zaraz odłożył swój kij żelazny i skoczył do niego. Brali się tak mocno ze sobą, że aż ziemia jęczała i wzbił się pod niebo ogromny obłok kurzu. Wkońcu zwyciężył Toczygroszek i Waligóra musiał także pójść z nimi.

Wędrowali długo wszyscy trzej, aż zaszli znowu w ogromny bór i natrafili na małą chałupkę. Weszli do niej i zobaczyli, że była pusta. Nigdzie nie było widać nikogo, coby gopodarzył, a jednak nie brakowało żadnego z potrzebnych statków. Było też co jeść i pić, ale wszystko surowe. Skoro im się bardzo jeść zachciało, uradzili, że Wyrwidąb zostanie w chałupie i będzie obiad gotować, a Toczygroszek i Waligóra pójdą tymczasem do lasu na polowanie. Odchodząc przykazali mu, aby huknął na nich, kiedy strawa będzie ugotowana.

Wyrwidąb został w chałupie, zapalił ogień na kominku, rozstawił garnki i zaczął pitrasić. Aże mu dobrze szło, więc sobie podśpiewywał, i rażno się uwijał. Wtem usłyszał pukanie do drzwi i widzi przed sobą dziadka, co miał siedem łokci brody, a jego samego łokieć było. Wydawał się chuderlawy jakiś, mizerota, ledwo nogami włóczył, a tak był zmarźnięty, że się trząsł jak osika.

— Dobre południe! — mówi dziadek.

— Dobre południe, dziadku. — odpowiedział Wyrwidąb.

— Ne mógłbym się też trochę ogrzać przy ogniu?

— pyta dziadek. — Pozwól mi, żebym wlazł na kominek.

— A dobrze — rzekł Wyrwidąb — ja cię nawet podsadzę.

Pomógł mu wleźć na górę i dziadzisko usadowiło się za garnuszkami. Wyrwidąb dorzucił jeszcze drzewa, tak, że płomienie buchały aż pod powałę.

Zmarznięty dmuchał na ogień i grzał się ciągle.

Kiedy obiad był już gotów, Wyrwidąb nalał sobie zupy na miskę i zaczął jeść, a dziad prosi, żeby mu dał także coś na ząb położyć. Wyrwidąb nalał mu zupy, dziad chwycił za łyżkę, ale ręka tak mu się trzęsła, że łyżka upadła na ziemię. Prosi więc:

— Podnieś mi, bo jestem taki stary, taki słaby...

A kiedy Wyrwidąb schylił się, w okamgnieniu dziad skoczył na niego, jak żbik, chwycił za kark i począł dusić z całej siły. Wyrwidąb odrazu zesłabł, a wtedy dziad wyrżnął mu z pleców pas skóry, a jego samego powiesił w kominie nogami do góry. Powyjadał prawie wszystko z garnków, a resztę powylewał, porozrzucał po ziemi i poszedł sobie.

Tymczasem dwaj inni siłacze czekali w lesie, aż ich Wyrwidąb na obiad zawoła. Jakże się zdziwili, kiedy znaleźli garnki puste, a towarzysza powieszonego w kominie do góry nogami. Szybko go stamtąd wyciągnęli, ale kiedy Wyrwidąb oprzytomniał, nie chciał żadną miarą opowiedzieć im, jak się to wszystko stało. Uradzili potem, żeby na drugi dzień został Waligóra i gotował obiad, a tamci znowu pójdą do lasu.

Tak się też stało.

Waligóra został w domu i nastawił cały kocioł mięsa. Nie trwało długo, aż tu znowu zjawia się to samo zmarźnięte dziadzisko. Ttrząsł się tak, że aż żal było patrzeć. I znowu prosił Waligórę, żeby mu po-

zwolił ogrzać się na kominku za garnkami, a ten mu odpowiedział:

— Grzej się, toć drzewa jest dosyć.

Kiedy już jadło było gotowe, dziad prosił znowu, żeby mu dał choć ździebełko. Potem tak samo wypuścił łyżkę i mówi jęczącym głosem do Waligóry:

— Podnieś mi, bo jestem taki stary, taki słabowity...

Waligóra schylił się i znowu dziad skoczył na niego z komina. Huknął go w kark, złapał pazurami za szyję i omało co nie udusił. Potem wyciął mu pas skóry z grzbietu i powiesił, jak Wyrwidęba do góry nogami w kominie.

Dwaj towarzysze znowu napróżno czekali. Nikt ich na obiad nie wołał.

Kiedy się im sprzykrzyło czekać, wrócili do chałupy i zobaczyli to samo, co wczoraj. Nikogo w izbie nie było, puste garnki poprzewracane, ogień zalany, a Waligóra w kominie. Kiedy go stamtąd wyciągnęli, nie chciał im nic powiedzieć.

Teraz postanowili, że następnego dnia Toczygroszek weźmie się do gotowania. Nazajutrz tamci poszli do lasu, a Toczygroszek został i rozniecił ogień. Wnet zjawił się dziad i chce się grzać na kominie, a Toczygroszek mówi:

— Grzej się ile chcesz, zrobię taki ogień, że się spocisz, jak ruda mysz! Uważaj tylko, żebyś sobie brody nie osmalił.

Kiedy tamten się grzał, Toczygroszek ugotował obiad i zaczął jeść, a dziadzisko prosi:

— Daj i mnie ociupinkę, taki jestem stary, taki słabiusieńki...

Potem dziad znowu upuścił łyżkę, a kiedy Toczygroszek schylił się po nią, skoczył mu na kark jednym susem. Ale Toczygroszek był bardziej chwacki od swoich towarzyszy, odwinął się wartko i capnął

dziada także za grdykę. Długo wodzili się po izbie, aż Toczygroszek chlasnął nim o ziemię, złapał kij żelazny i zbił dziada na kwaśne jabłko. Potem chwycił go za siedmiołokciową brodę i wywlókł przez podwórze za chałupę, gdzie rosła wielka brzoza. Ciął Toczygroszek żelaznym kijem, a kiedy pień się rozczepił, przygiął łeb dziada, wsadził brodę do środka i przybił jeszcze klinem, żeby się nie mógł stamtąd wydostać. A potem tak rzekł do niego:

— A więc to tyś bratku wieszał moich towarzyszy w kominie, ale widzisz: trafiła kosa na kamień. Teraz siedź tutaj, a ja ich zawołam, abyśmy uradzili, co zrobić z tobą.

I poszedł do lasu szukać Wyrwidęba i Waligóry.

A kiedy ich znalazł, poszli wszyscy razem do chałupy. Dziwili się tamci, że Toczygroszkowi nic się nie stało, ale jeszcze bardziej zdziwili się, skoro zobaczyli garnki pełne jadła.

— To chyba dziada nie było, — mówią — kiedyś ty obiad zgotował.

—Oho, — odpowiedział Toczygroszek — nic nie pytajcie, tylko siadajcie i jedźcie, a potem go wam pokażę.

Skoro już podjedli niezgorzej, mówi do nich znowu Toczygroszek:

— Chdźcie za mną!

Wstali i poszli. Przychodzą tam, gdzie dziad stał, a tu niema nikogo, tylko wielka broda wisi na drzewie. Wyrwał się widać i uciekł.

— Ano chodźmy jego śladem! — woła Toczygroszek.

Tamci dwaj nie mieli ochoty, bo na własnej skórze poznali, że dziad mocny, ale Toczygroszek uparł się. Szli więc radzi nieradzi. O ślad nie było trudno, bo dziadowi widać krew po brodzie ciekła i nabroczył czerwoną ścieżkę. Szli tym szlakiem, aż doszli

do wielkiej góry, a w tej górze zobaczyli wielką, mroczną czeluść. Tu już krwawy trop się kończył. A było to miejsce zaklęte, na którem dawniej stał zamek wspaniały, lecz potem zapadł się pod ziemią.

Toczygroszek wszystko to wymiarkował i mówi do swoich towarzyszy:

— Ty Wyrwidębie musisz zrobić z korzeni duży kosz i ukręcić z lipowego łyka długi a mocny powróż. Ty zaś Waligóro rozwalaj tę górę, abyśmy się łatwiej do niego dostali.

Kiedy tak się stało, mówią tamci do Toczygroszka:

— Tyś był najmocniejszy na ziemi, to idź próbować szczęścia i pod ziemią!

Wsiadł więc Toczygroszek w kosz, a oni spuścili go na powrozie w jamę i obiecywali, że będą czekać na niego. Długo zjeżdżał na dół, myślał już nawet, że powroza nie starczy, aż wreszcie stanął we wspaniałej świetlicy, która gorzała od złota, srebra i drogich kamieni. W złocistych świeczniczkach płonęły woskowe świece, a pośrodku siedziała prześliczna panna. Spojrzał na nią Toczygroszek i strasznie mu przypadła do serca. Młoda była, jak jagoda, liczka gładkie, oczy świecące. Widać, że wiatr ją pieścił i słońce całowało. Suknia na niej, jak na pani. Staniczek jedwabiem sznurowany, perłami naszywany, czepiec koronkowy, okolisty, spódnica bryzowana złotem, buciki czerwone. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się żałośnie i mówi:

— Człowieku nieszczęsny, pocoś przyszedł? Tu jest przecież taki straszny dziad, który nas i nasz zamek już od ośmiuset lat trzyma w zaklęciu. Wielka jest jego moc i pewnie ciebie zabije młody rycerzu!

Lecz Toczygroszek roześmiał się, potrząsnął kijem żelaznym i zawołał:

— Piękna panno, nie jestem żaden rycerz, tylko

syn chłopski, ale nie taki djabeł straszny, jak go malują. Już ja waszego dzada widziałem, jużem się z nim brał za bary i zmogłem go i za brodę przyczepiłem do drzewa.

Zajrzał w jej oczy duże, błękitne i zapytał jeszcze:

— Powiedz mi królewno, czy będziesz moją, jeśli tego dziada znowu zwyciężę?

Panna zapłoniła się, jak róża szkarłatna i cichuteńko odrzekła:

— Twoją będę, aż do samej śmierci!

Skoczył Toczygroszek z radości aż pod powałę, jeszcze większy duch w nim wzmógł się i zawołał straszliwym głosem:

— Pokaż mi tylko gdzie on jest ten stary czarownik?

— Musisz przejść jeszcze dwa pokoje, — odpowiedziała panna — znajdziesz w nich dwie moje starsze siostry, które razem ze mną pod jego władzą zostają. Dopiero w trzecim pokoju siedzi straszne dziadzisko.

Zanim poszedł dalej, dała mu panna jeszcze jakiejś wody do wypicia i rzekła:

— Napij się, bo to jest woda siły, będziesz jeszcze mocniejszy. Toczygroszek ruszył śmiało naprzód, przywitał się grzecznie z dwiema starszemi siostrami i wszedł wreszcie do trzeciego pokoju. Otworzył drzwi i woła:

— Dobry wieczór dziadku!

Dziadzisko zerwał się na jego widok z wielkim strachem i krzyczy:

— A tyś się skąd tu wziął?

— Gdzież podziałeś swoją piękną brodę? — zapytał Toczygroszek.

— Jakeś mnie wystroił, tak mnie i oglądasz.

Zaraz też uciekł dziad do czwartej izby, ale Toczygroszek uderzył żelaznym kijem po drzwiach

i wywalił je. Dziad nie miał już gdzie uciekać, więc rad nierad musiał stanąć do walki.

Chwycili się za bary i dalejże bić się. Po chwili woła z całej siły na panny.

Przybiegły, a on krzyczy:

— Pokropcie mnie wodą siły, bo inaczej ulegnę.

Ale panny zamiast wody siły, pokropiły go słabą wodą i mówią:

— A niechże już raz będzie z tobą koniec, przeklęty czarowniku!

Dziad stracił zupełnie siły i Toczygroszek zabił go wreszcie.

Potem cieszyli się wszyscy, a Toczygroszek powiada do tych panien:

— My tu nie zostaniemy, trzeba się wydostać w górę, na biały świat!

Wsadził jedną pannę w kosz i zakręcił powrozem, żeby tamci ciągnęli. A kiedy zobaczyli pierwszą królewnę, podobała im się bardzo, widzieli też zaraz, że na skale ukazała się jedna baszta zaklętego zamku. Panna powiedziała Wyrwidębowi i Waligórze, że w podziemiach zostały jeszcze dwie jej siostry, więc spuścili dwa razy kosz i wyciągnęli wszystkie panny na górę. A wraz z niemi ukazał się cały, wspaniały zamek z wysokiemi basztami. Na wałach widać było żołnierzy w pięknych mundurach. Zachrzęściały łańcuchy i most zwodzony opuścił się na ich powitanie, a trębacze na wieżach zagrali uroczyście.

Ale panny nie chciały jeszcze stąd odejść, tylko prosiły, aby spuścić kosz po Toczygroszka. Nie chcieli tego siłacze uczynić. Wreszcie tak zrobili, jakby się dali ubłagać. Toczygroszek nie w ciemię bity, przeczuwał zdradę, włożył do kosza swój kij żelazny i dał znak, żeby ciągneli w górę. Kiedy kosz doszedł do połowy drogi, tamci przecięli powróz i żelazna pałka zleciała z wielkim hałasem na dół.

Zasmucił się bardzo Toczygroszek i zaczął dumać:

— Dziada czarownika zabiłem, panny i zamek wybawiłem, a oni mnie za to wszystko życia chcieli pozbawić. Zostałem tutaj i chyba już nigdy stąd nie wyjdę.

Zaczął się rozglądać po podziemnym świecie, ale nie dostrzegł nawet śladu człowieka. Było tam strasz- no i ponuro. Dokoła ciągnęły się mroczne puszcze i nieprzebyte trzęsawiska, a wśród nich szumiały czarne rzeki. Od czasu do czasu spotykał dziwne zwierzęta, których jeszcze nigdy nie widział.

Długo błądził, aż wreszcie usiadł pod wielkim dębem i począł znowu myśleć: W jaki sposób znaleźć drogę na świat, gdzie żyją ludzie? A na tym dębie było gniazdo orłów. Właśnie zbierała sie burza na niebie i szły żółte, gradowe chmury. Młode orły krzyczały bardzo, bojąc się, że grad je zabije, ale starego orła nie było. Toczygroszkowi zrobiło się ich żal, wylazł na dąb, zdjął żelazny kaftan i zanim grad zaczął uderzać, okrył pisklęta.

Kiedy burza już przeszła, przyleciał stary orzeł. Widząc, że dzieciom jego nic się nie stało, zapytał:

— Któż to was zakrył od gradu?

A młode orły odrzekły:

— Zrobił to ten człowiek, który siedzi pod dębem.

Orzeł zleciał do Toczygrosza i zapytał:

— Cóż ja ci, człowieku, dobrego zrobiłem, żeś moje dzieci od śmierci uratował?

— Nic — odrzekł Toczygroszek — tylko żal mi ich było.

— Kiedy tak, — mówi orzeł — powiedz, w jaki sposób mogę ci się odwdzięczyć.

— Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, to weź mnie na swoje skrzydła, bo jesteś duży i mocny, i zanieś

mnie w świat do ludzi. Tam jest zamek, który uwolniłem od zaklęcia. Źli towarzysze w nim gospodarzą, mnie zaś tutaj samego zostawili.

— To bardzo daleko stąd, — odpowiedział orzeł — ale można spróbować. Musisz jednak zabrać dużo mięsa, abym miał co jeść w drodze.

Toczygroszek zaczął polować, znosił zwierzynę i ćwiartował ją. Wreszcie włożył wszystko na orła, sam także wsiadł na niego i polecieli.

Lecieli bardzo długo, przeszło wiele dni i wiele nocy. Kiedy orzeł obracał do niego głowę, Toczygroszek wkładał mu za każdym razem kawał mięsa. Wreszcie orzeł zjadł wszystko i kiedy odwrócił się nie było mu co dać.

— Rób co chcesz,—powiedział orzeł — a włóż mi coś w dziób, bo inaczej nie dolecę, a już nie tak daleko.

Toczygroszek nie wiele wyśląc, chlasnął sobie kawałek łydki i podał ptakowi.

On zaś machnął olbrzymiemi skrzydłami i wkrótce zobaczyli zaklęty zamek na skale. Opuścili się zaraz na ziemię, a orzeł rzekł:

— Dobrześ mnie karmił, ale najlepszy kąsek zostawiłeś na ostatek!

Potem pożegnał go i poleciał z powrotem.

Toczygroszek zaś szedł ku zamkowi i kazał sobie bramy otworzyć.

Pobiegli żołnierze do swoich panów i mówią, że jakiś obdartus chce koniecznie wejść do zamku.

— Nie puszczać go! — zawołali Wyrwidąb i Waligóra.

Kiedy Toczygroszek taką odpowiedź usłyszał, rozgniewał się bardzo i z taką siłą uderzył swoją żelazną laską o ziemię, że się aż mury zachybotały i cały zamek zadrżał w posadach.

Przelękł się Wyrwidąb, przeląkł się Waligóra, przelękły się dwie starsze siostry, przelękli się żołnierze na murach i służba w zamku, tylko młodsza siostra pocieszyła swoje strapione serce i zaraz pomyślała:

— To nie może być kto inny, jak tylko mój siłacz, któremu ślubowałam wieczną miłość.

— Czyżby to był Toczygroszek? — zapytali tamci.

I wyszli, żeby zobaczyć i poznali go zdaleka po olbrzymiej postaci, i po pałce żelaznej, a on wówczas zawołał:

— Zdawało wam się, żeście się mnie zdradą pozbyli, alem wydobył się z matni i oto stoję przed wami. A teraz pytam się was po dobroci:

Czy chcecie się poddać wraz z zamkiem, który wybawiłem od zaklęcia?

— Chcemy! — odpowiedzieli, bo się go bardzo bali.

A on rzekł znowu:

— Jeśli chcecie być mojemi sługami i pracować dla mnie, możecie tu zostać. Inaczej wygnam was na cztery wiatry.

Oni zgodzili się i przysięgli, że od tej pory będą mu służyć wiernie.

Wtedy Toczygroszek ożenił się z młodszą siostrą i został panem zamku, a dawni towarzysze musieli u niego jeszcze długo i ciężko pracować.

I tak żyli, żyli, aż pomarli i pognili.

Taka jest bajka o trzech mocarzach.

O PANNIE, KTÓRA KOCHAŁA POTWORA

Był raz jeden kupiec bardzo bogaty, który handlował różnemi rzeczami, przedewszystkiem zaś materjałami na suknie damskie. Był już dwa razy żonaty i miał trzy córki, dwie z drugiej żony i jedną sierotkę Basię.

Pewnego razu miał wyjechać za morze, aby kupić najmodniejszych rzeczy do swojego sklepu. Zawołał wtedy trzy córkii i pyta ich, coby chciały, żeby im przywiózł. Jedna chciała sukni tkanej złotem, druga prosiła o pierścień z djamentem, Basia zaś rzekła:

— A mnie przywieź taką różę, którаby zawsze pachniała i nigdy nie więdła.

Kupiec przyobiecał, że przywiezie każdej to, co sobie życzyła.

Pożegnał się potem z żoną, pożegnał się z ukochanemi dziatkami i puścił się w podróż. Bardzo szczęśliwie przejechał morze, nakupił wszystkiego, co miał kupić i o podarkach dla córek nie zapomniał, tylko dla Basi nie mógł znaleźć tego, o co prosiła. Więc poszedł do złotnika i kazał zrobić różę z samych djamentów i wybornemi różanemi perfumami ją uperfumował. I bardzo ucieszony powracał do domu.

Ale zaraz pierwszego dnia zerwała się na morzu wielka burza. Wicher dął straszliwy, woda zalewała pokład okrętu, wreszcie olbrzymie bałwany porwały statek i uderzyły nim o skały. Okręt rozbił się i za-

tonął, a razem z nim poszły na dno wszystkie skarby kupca. Ledwo się sam uratować zdołał. Uczepił się deski z rozbitego okrętu, a wiatr zagnał go do jakiegoś nieznanego lądu. Dostał się na jakąś wyspę, o której nigdy słyszał. Z początku bał się iść dalej, żeby go jaki zwierz okrutny nie pożarł, ale wreszcie zachciało mu się pić i widząc, że nie ma innej rady, przeżegnał się i ruszył w drogę. Przeszedł las wielki i oto patrzy, a na pagórku widać wspaniały ogród, mosiężnemi słupkami otoczony. Furtka od ogrodu była naoścież otwarta, więc wszedł do środka i zaczął się rozglądać. Widział drzewa wspaniałe, pięknie strzyżone trawniki, a wśród zieleni krzewów i cudownych kwiatów tęczowe wodotryski i marmurowe posągi. Bardzo mu się wszystko podobało, ale wciąż myślał:

— Mój Boże, tyle tu jest najrozmaitszych piękności, a ja ciągle taki zmęczony i głodny.

Wreszcie obejrzał się w lewą stronę i ujrzał wspaniały zamek. Przypatrzył mu się dobrze i poznał, że także nie był zamknięty, tylko naoścież otwarty. Wszedł tam i nieśmiało wgramolił się na pierwsze piętro. Zajrzał do jednego i drugiego pokoju, ale nigdzie nie było nikogo. Siadł sobie i myślał:

— Hm, taki wspaniały zamek i pusty. Podobny do mojego brzucha, boć taki jestem głodny, że chyba tu z głodu umrę.

Wtem usłyszał jakieś kroki, które rozlegały się coraz bliżej. Ktoś uchylił drzwi i wszedł do pokoju, ale nie było widać nikogo. Na kupcu aż skóra ścierpła ze strachu i ledwo wykrztusił:

—A kto tam?

— Nie pytaj się kto, tylko zamiast tu siedzieć daremnie i dumać nad swoim losem, idź do drugiego pokoju. Przyniosłem ci tam śniadanie, świeże

ubranie i wodę do umycia, znajdziesz tam także i to wszystko, coś w morzu stracił.

— Czyż być może, — zawołał zdumiony kupiec to jakiś cudowny zamek.

— Tak w tym zamku jest wszystko.

— To może u was można dostać taką różę, która zawsze pachnie i nigdy nie więdnie, właśnie jej nadarmo szukałem dla mojej córki.

— Taką różę — odpowiedział ten, którego nie było widać — możesz sobie zerwać na niejednym krzaku w naszym ogrodzie.

Kupiec już o nic więcej nie pytał, tylko pobiegł szybko do drugiego pokoju, gdzie znalazł wszystko, co mu obiecano. Umył się, przebrał, zjadł śniadanie i tak mówił do siebie:

— Alem sobie porządnie podjadł. Jaki to Pan Bóg jest dobry dla mnie i jacy dobrzy są tutaj ludzie. Szkoda tylko, że ich zobaczyć nie można i nie ma komu podziękować.

Po dobrem śniadaniu najlepiej jest przejść się, więc wyszedł do ogrodu. Szedł ścieżką i oglądał wszystkie kwiaty, aż tu spostrzegł krzak z kwitnącem różami, takiemi właśnie, jakich córka jego sobie życzyła. Podszedł do tego krzaka i wyciągnał rękę, żeby zerwać jedną różę dla córki, ale wtem chwyciło go coś za ramiona straszliwemi pazurami i ozwał się głos chrapliwy:

— Tyś sadził, żebyś rwał?

On zaś ze strachem zawołał:

— Zlituj się nade mną, chciałem tylko urwać różę dla mojej córki.

Pazury puściły go, kupiec obejrzał się i zobaczył niesłychanego potwora, jakiego nikt jeszcze na świecie nie widział i może widzieć nie będzie. I ten potwór tak do niego przemówił:

— Ja ci dam nietylko jedną różę, ale wszystkie,

które są w ogrodzie. Musisz mi jednak najdalej za rok przywieźć piękną córkę swoją, którą nad życie kochasz. Inaczej zginiemy: ja i wy wszyscy.

Kupiec zalał się łzami i mówi:

— Ach, Boże mój kochany, czegóż ty żądasz ode mnie, chcesz żebym ci sam rodzoną córkę na pożarcie przywiózł.

A potwór na to:

— Nie taki straszy djabeł jak go malują. Choć okropnie wyglądam, nikogo nie pożeram i ciebie przecież także nie pożarłem.

— Więc pocóż ci moje dziecko?

— Nie pytaj za wiele, mości kupcze, bądź pewien, że się tu jej żadna krzywda nie stanie. Za rok mi ją przywieziesz, rok u mnie pobędzie, a potem odeślę ci ją z powrotem.

Cóż miał zrobić nieszczęśliwy kupiec, zgodził się i dostał wielki bukiet prześliczych róż, które nigdy nie więdły i zawsze pachnęły. Ucieszony tym cudownym podarunkiem, pożegnał potwora, który był dla niego bardzo czuły i nawet go ojczulkiem nazywał.

— Za dwa lata — powiedział — zostanę twoim zięciem. Musisz mi już teraz przyobiecać rękę twojej córki i przysiądz, że mną nie pogardzisz. Inaczej źle będzie z tobą i do końca życia nosa swojego z wyspy nie wytkniesz.

Kupiec tak się go strasznie lękał, że się godził na wszystko.

Potwór ucieszony tem, kazał mu wsiąść na siebie i przewiózł go z całym dobytkiem przez morze. I kiedy szedł przez olbrzymie fale tupał nogami, drapał pazurami, jakby po suchej stąpał drodze. Bo dla niego nie było to morze, tylko kamień gładki i ziemia. Kupiec dziwił sę bardzo, nie mógł wytrzymać i pyta potwora:

— A którędyż ty jedziesz?

— A jadę cesarskim gościńcem.

Przewiózł go wreszcie na drugą stronę. Kupiec zesiadł z niego, a potwór woła:

— Pocałujże mnie na pożegnanie, przecież będziesz moim teściem.

Kupcowi było bardzo nieprzyjemnie pieścić się z taką paskudą, ale musiał go pocałować i na oko ten pocałunek był bardzo czuły. Potem pożegnał potwora i pojechał prosto do domu, gdzie go powitały stęsknione córki i żona. Rozdał im wszystkim prezenty. Żonie sznur pereł, jednej córce suknię złotem przetykaną, drugiej pierścień z djamentem, a ukochanej Basi bukiet róż, które nigdy nie więdną i zawsze pachną. Było z tego uciechy coniemiara, tylko jeden kupiec miał twarz zasmuconą.

Minął jeden miesiąc i drugi, a on wciąż smutny i smutny i nic go rozweselić nie może. Już zbliżał się rok, a on jeszcze smutniejszy.

Jednego razu podeszła do niego córka Basia, zarzuciła mu rączęta na szyję i pyta:

— Kochany ojcze, cóż ci to brakuje? Dlaczegoś taki smutny, dlaczego ci oczy ciągle łzami zachodzą? Czemuż cię nic nie cieszy, jakby mnie na świecie nie było?

Wtedy kupiec opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło podczas jego podróży, opowiedział jej o strasznym potworze i swoich przyrzeczeniach, a w końcu rzekł:

— Cóż mnie ma weselić, kiedy ty ode mnie pojedziesz i Bóg wie co się z tobą stanie, może zginiesz, może nigdy do nas nie wrócisz? I jakżeż ja żyć wtedy będę?

Ona zaś ojcu odpowiedziała:

— Nie martw się tatusiu, przecież lepiej, żebym ja sama zginęła, niżby was wszystkich miało spotkać nieszczęście. A zresztą nie boję się, coś mi mówi,

że ja tam na stracenie ne pojadę. Co będzie to będzie.

Nie było już zresztą mówić o czem, bo się wypełnić musiało to co było powiedziane. Ojciec kazał spakować rzeczy i wysłał ją na wyspę do okropnego potwora. Jechała bardzo smutna i smutek nie opuszczał jej przez całą drogę. Nikogo nie widziała, niczyjej mowy nie słyszała, nawet ptaków śpiewanie nie rozlegało się, bo w tym kraju wszystko było zaczarowane. Przyjechała na wyspę, weszła do ogrodu, weszła do pałacu i zobaczyła, że wszystkie pokoje były pootwierane i wszystkie tak urządzone, jak ona lubiła. Wszystko, co tylko jej na myśl przyszło, tam znalazła. Więc myślała sobie:

— Czyż mi tu źle? Czyż mi tak dobrze było w rodzinnym domu? Siostry zawsze były zazdrosne, matka zła, dobrego żałowała słowa. Wszystko mi wydzierały, nieraz to mnie jeszcze pobiły, a tu tak spokojnie i tak pięknie.

Obejrzała cały zamek i rozsiadła się w najpiękniejszym salonie, który był umeblowany według jej gustu i w którym znajdowały się jej najulubieńsze zabawki, najpiękniejsze lalki i najcudowniej pachnące kwiaty. A jeśli o czemkolwiek pomyślała, zaraz to się zjawiało przed ią. Wreszcie nabawiła się do sytości i mówi:

— Zabawek to mi dali, ale o jedzeniu zapomnieli.

W tej chwili ta sama niewidoczna osoba podała jej wyborny obiad z leguminkami i winkiem doskonałem. Lepszego nic nigdy w domu nie jadła. Po obiedzie położyła się na kanapie, zmrużyła oczęta i próbowała zasnąć. Ale w tem usłyszała ciche koło siebie stąpanie, jakby ktoś był przy niej blizko, jakby ktoś się nad nią pochylał i jej się przyglądał. Spojrzała, alet nie zobaczyła nikogo; więc śmiało rzekła:

— A' to ty do mnie przyszedłeś! Dobrze robisz,

że mi się na oczy nie pokazujesz, bo bym się pewno ciebie przelękła.

I tak zaczęli rozmawiać ze sobą. Słyszała jego głos, czuła dotykanie łapy, która przesuwała się po jej ręce. Z początku rozmawiali bardzo nieśmiało, ona bała go się okropnie, a on chciał ją oswoić.

— Nie bój się mnie — mówił — chociaż wyglądam strasznie, nie jestem zły ani okrutny. Przecież słyszysz, jak z tobą rozmawiam, jestem spokojny, łagodny i możesz być pewna, że ci tu u mnie włos z głowy nie spadnie.

Rozmawiali ze sobą dość długo, wreszcie jej się sprzykrzyło mówić do takiej osoby, której wcale nie widać, więc rzekła:

— Idź już sobie ode mnie, bo mi się sprzykrzyło gadać z tobą. Muszę się teraz trochę lalkami pobawić, bo nie jestem przyzwyczajona do takiej długiej, poważnej rozmowy.

On się wcale nie sprzeciwiał, pocałował ją pokornie w rączkę i poszedł sobie. Ona pobawiła się trochę lalkami, pograła na fortepianie, a potem wyszła do ogrodu na spacer. Chodziła tu i tam, oglądała wszystko, co było pięknego, zrywała kwiaty i wiła z nich bukiety, wreszcie pomyślała sobie:

— A gdzież tu jest ten krzak z różami, które mi ojciec przywózł? Gdzie są te róże, co nigdy nie więdną i zawsze pachną.

Zaczęła chodzić znowu, szukać wszędzie, aż wreszcie znalazła. Podeszła do krzaka bliżej i rwie jedną różę po drugiej. Wtem zobaczyła o kilka kroków od siebie coś okropnego, czarnego. Przypatrzyła się lepiej i tak się okropnie przelękła, że aż zemdlała.

A to był właśnie ten potwór.

Leżała długo, bo potwór z wielkiej tęsknoty za nią także zemdlał i nie wiedział, że ta do której tęsk-

ni jest przy nim. Po niejakiej chwili przyszła do siebie, przetarła sobie oczy, zbliżyła się pocichutku do potwora, zaczęła go dotykać rękami i kiedy mu się lepiej przypatrzyła, zobaczyła, że ma oczy zamknięte i nic nie czuje. Bała go się, ale siadła przy nim i zaczęła go głaskać, a nawet z dziecinnej pustoty dmuchnęła mu w ucho. Potwór poruszył sę trochę, ona odsunęła się przelękniona, ale swawola przemogła i dmuchęła mu w ucho po raz drugi. Przeciągnął się leniwie, otworzył oczy, a ona ze strachem zawołała:

— Ojej, co za paskudne oczy!

Uśmiechnął się i zobaczyła jego straszne kły.

— Ach, co za paskudne zęby!

Ale już nie uciekała od niego, tylko mu się coraz bardziej przypatrywała i nawet pomyślała sobie, że nie jest tak paskudny, za jakiego go miała. I powiedziała mu:

— Cóż ty biedaku tak leżysz tutaj? Całyś mokry, mrówki po tobie łażą, a ty tak leżysz i leżysz, jakby ci kto kazał.

— Nie bój się — odpowiedział potwór — już nie będę tak długo leżał, tylko ty bądź dobra dla mnie. Nie wypędzaj mnie od siebie i nie pozwól, żeby mnie mrówki kąsały.

Codziennie rozmawiali ze sobą, przyzwyczaiła się do niego i po niejakim czasie wcale się go nie bała. Jednakże tęskniła do domu rodzinnego, a potwór zauważył to i począł ją pocieszać, że w domu wszyscy zdrowi i weseli. Wreszcie dał jej zwierciadło, w którem mogła oglądać swoich. Zobaczyła tam, jak wszyscy tańczyli, skakali i radowali się. Zrobiło jej się smutno i powiedziała sobie:

— Nie troszczą się wcale o mnie, i nie wiedzą nawet, czy żyję.

Kiedy minął rok i sześć niedziel, potwór powie-

działał jej, że teraz nadszedł czas, kiedy trzeba, aby do domu pojechała. A ona zaklaskała w rączki i zawołała:

— Ano dobrze, pojadę.

Dał jej wtedy czerwone jabłuszko i srebrny dzwonek i tak jej powiedział:

— Kiedy będziesz w domu, spoglądaj co jakiś czas na to jabłuszko! Jeśli będzie do połowy blade, to będzie znaczyło, że jestem chory, a jeśli całe zbladnie, to już żyć przestanę. Zadzwoń wtedy srebrnym dzwoneczkiem, a w tej samej chwili będziesz przy mnie.

Pożegnali się potem, a on przywołał jakichś ludzi, których wcale nie widziała i kazał ją przenieść do ojca. Ojciec bardzo się ucieszył i powiedział jej że ją już nigdy od siebie nie puści i żeby nawet na głowie stawała, nie pozwoli jej wrócić do szkaradnego potwora. Roześmiała się tylko i pomyślała, że na nic całe to ojcowskie gadanie:

— Mam przecież srebrny dzwoneczek i mogę wrócić do mojego potwora, skoro tylko dzwoneczkem poruszę.

Tymczasem schowała czerwone jabłuszko i srebrny dzwoneczek do komody. Zapomniała nawet co i raz tam zaglądać, bo czas jej wesoło upływał na zabawach i tańcach. A tymczasem jabłuszko było coraz bledsze, aż całkiem zbladło.

Dopiero jednego razu macocha okropnie się na nią rozgniewała i powiedziała jej:

— A bodajżeś się wyniosła z powrotem do twojej paskudy!

Wtedy zrobiło jej się bardzo przykro i przypomnała sobie zaraz o jabłuszku. Zajrzała do komody a tu jabłuszko całkiem blade. Przestraszyła się bardzo, zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem i w tej samej chwili znalazła się w swoim ulubionym pałacu.

Kiedy tam przybyła, najpierw zaczęła szukać potwora. Szukała go po całym zamku, po wszystkich pokojach i po całym ogrodzie. Znalazła go wreszcie pod krzakiem róż. Leżał bez życia, sztywny, przykryty słomą. A kiedy odgarnęła tę słomę, zobaczyła, że on już nie żyje. Zęby miał wyszczerzone i nawet trochę cuchnął.

Rzuciła się na niego, łzami gorącemi go oblewała, całowała go i głaskała, aż go wskrzesiła. Westchnął ciężko, otworzył oczy i wyciągnąwszy do niej łapę, rzekł:

— Widzisz, jak to ty pamiętasz o mnie. Wtenczas do mnie wróciłaś, kiedy ci tam dobrze nadokuczali.

Przepraszała go z całego serca i prosiła, żeby się już na nią nie gniewał.

— Idź do zamku — powiedział jej wreszcie — i wróć tu za pół godziny.

A kiedy przyszła do zamku, zdziwiła się bardzo. Milczący dawniej i głuchy teraz pełen był życia i wesela. Powitała ją służba w piękne mundury wystrojona i dziękowała na kolanach za to, że ich z zaklęcia wybawiła. Za pół godziny wróciła do ogrodu, lecz zamiast potwora zastała tam pięknego królewcza, który szedł ku niej na czele rycerzy. I hucznie grała kapela i schodzili się do niej wszyscy, dziękując za wybawienie. A potem królewicz wziął ją pod rękę i wsiedli na okręt, który już czekał na nich z rozpiętemi żaglami. Morze było spokojne i ciche, słońce świeciło jasno, a muzyka grała słodko. Byli przy sobie spleceni jednym uściskiem. On był tak piękny, że się napatrzyć nie mogła i mówiła wciąż:

— Jakiś ty był brzydki pierwej.

On zaś odpowiadał:

— A teraz jestem inny.

Kiedy przyjechała do rodziców, ojciec bardzo się ucieszył, że jego córka zostanie królową.

Macocha tylko i dwie siostry, gdyby mogły, utopiłyby ją z zazdrości w łyżce wody. Widziała to, ale nic sobie z tego nie robiła, boć przecież myślała o tem, że skoro im ojciec wesele wyprawi, powrócą na zawsze na swoją wyspę.

Huczne było weselisko. Potem wrócili do zamku i żyli z sobą długo, szczęśliwie, żyli, żyli żyli aż się do grobu położyli.

JAK ROKITA PRZEGRYWAŁ DUSZE W KARTY I JAK SIĘ ODEGRYWAŁ.

Był raz jeden parobek, który lubił grać w karty, a na imię było mu Kuba. Kiedy jechał wozem na pole i nie miał z kim grać w karty, to sobie lejce na szyję zarzucał i na deskach grał sam z sobą. Taki to był z niego zawzięty karciarz.

Zdarzyło się raz, że kiedy jechał do roboty spotkał jakiegoś pana, który zastąpił mu drogę i tak się do niego odezwał:

— Wiem, że bardzo chętnie grasz w karty, więc przyszedłem zagrać z tobą.

— A dobrze! — rzekł na to parobek. — Możemy grać, ale powiedz mi, co ty postawiasz?

— Ja postawię jedną duszę, — odrzekł nieznajomy pan — a ty musisz swoją duszę postawić.

Bo ten pan nie był wcale człowiekiem, tylko djabłem z piekła, którego nazywają Rokitą.

Ale parobkowi, skoro tylko mógł grać, było wszystko jedno. Zgodził się więc, żeby ta gra poszła o duszę.

Zaraz djabeł Rokita poleciał żwawo do piekła po jedną duszę, a kiedy z nią wrócił, posadził ją na gałęzi i zaczęli grać.

Grali, grali, aż nareszcie Kuba wygrał. Rokita musiał wypuścić duszę na wolność.

Ale to mu nie wystarczyło, więc rzekł:

— Grajmy dalej, muszę od ciebie tę duszę odegrać.

— Dobrze, — odparł parobek — ale musisz znowu jedną duszę postawić, bo ja na gębę grać nie będę.

I djabeł poleciał do piekła po drugą duszę. Nie trwało dłużej, jak zmówienie jednego pacierza, a już wrócił z powrotem. Gra rozpoczęła się na nowo.

Grali, grali, Rokita spocił się, jak mysz, wreszcie Kuba wziął górę i wygrał duszę od djabła. Strasznie się zgniewał i zawziął się jeszcze bardziej.

— Musisz jeszcze trzeci raz zagrać ze mną, inaczej nie zostawię ciebie w spokoju, ani we dnie, ani w nocy.

A Kuba mówi:

— Możesz grać, ile chcesz, bylebyś miał co stawiać.

— Postawię jeszcze jedną duszę, a jeżeli ją przegram, to już więcej grać z tobą nie będę.

I poleciał znowu do piekła tak prędko, że aż się zakurzyło za nim.

Ale tym razem bardzo długo nie wracał, bo mu już w piekle żadnej duszy dać nie chcieli, a najstarszy djabeł okropnie na niego krzyczał:

— Ty głupi Rokito, co ty robisz najlepszego, po co ty grasz w karty z Kubą? Przecież to jest gracz nad gracze, on wygra od ciebie całe piekło.

Rokita, jak mógł, tak im tłumaczył, wreszcie powiada:

— Nie martwcie się! Jeżeli przegram trzy dusze, przyniosę wam za nie trzy inne.

Kiedy wrócił do Kuby na pole, gra się znowu rozpoczęła, ale Kuba tak umiał grać, że Rokita i tę trzecią duszę przegrał.

I znowu musiał ją wypuścić na wolność.

Teraz już Rokita nie chciał grać więcej, bo wi-

dział, że nie da rady Kubie. Pomyślał trochę i mówi do niego:

— Ano trudno, przegrało się. Nie wiedziałem coprawda, żeś ty taki chwat, iż nawet czarta ograć potrafisz. Ale, abyś nie mówił, żem nic wart, to cię jeszcze za to ożenię z piękną dziewczyną! Chciałbyś?

— Czemu nie? — odrzekł Kuba. — Jeżeli tylko masz dla mnie narzeczoną piękną i bogatą dawaj ją, chętnie się zaraz ożenię.

— Tak prędko to być nie może, — odrzekł czart — ja ciebie ożenię, ale przedtem nie możesz przez siedem miesięcy ani strzyc się, ani czesać, ani golić, ani myć się, ani paznogci obcinać. Wtedy dopiero przyjdę do ciebie i pojedziemy do narzeczonej.

Kiedy Kuba zgodził się na to, Rokita dał mu dużo pieniędzy i kazał iść do karczmy, gdzie miał sobie nająć pokoik. Wolno mu było dobrze jeść i pić i zabawiać się, ale ani golić się, ani strzyc, ani czesać, ani myć się, ani obcinać paznogci i czekać, aż djabeł po niego przyjdzie. Kuba zrobił tak, jak mu Rokita przykazał. Po kilku miesiącach wyglądał, jak nieboskie stworzenie. Łeb nastroszony, jak u jeża, gęba czarna, zarośnięta, pazury do szponów djabelskich podobne, a brud to aż kapał z niego. Gdzie tylko ruszył się, wszyscy przed nim uciekali i każdy wołał:

— Djabeł idzie!

Więc prawie ze swojej izby nie wychodził i nie mógł się już doczekać, kiedy prawdziwy djabeł przyjedzie. Zjawił się nareszcie po siedmiu miesącach w bogatego pana postaci, zajechał przed karczmę pozłocistą karetę, zaprzężoną w cztery czarne konie i woła do Kuby:

— Teraz już czas, zbieraj się, pojedziemy w zaloty!

Wsiedli i pojechali daleko do jednego pięknego

miasta, które było stolicą wielkiego królestwa. W tem mieście panował król, który miał z drugim królem wojnę prowadzić, więc były mu bardzo potrzebne pieniądze. Na każdym rogu ulicy ogłoszono, że ktoby temu królowi dał trzy centnary złota, to choćby to był dziad ostatni, albo żyd, odda mu swoją córkę i połowę królestwa.

Zaraz pojechali na zamek królewski i djabeł oznajmił, że są tacy, którzy przywieźli trzy centnary złota. Król bardzo się ucieszył, kazał wartom przepuścić ich i zaprowadzić do najgłówniejszej sali. Ugodzili się z Rokitą i pacholicy królewscy zaczęli znosić to złoto z djabelskiej karety. Kiedy wszystko znieśli, przeważyli i do skarbca oddali, mówi djabeł:

— A teraz musisz królu oddać jedną ze swoich córek temu to.

I pokazał Kubę, który dotychczas chował się ciągle ze wstydu.

Król spojrzał na niego i bardzo zasmucił się, że musi wydać jedną ze swoich córek za takiego brudnego, zarośniętego łapserdaka, ale powiada:

— Trudno, tak musi być, słowo się dało, kobyłka u płotu!

Zaraz też kazał zawołać wszystkie swoje cztery córki i okazało się, że jedna była piękniejszą od drugiej. Król pokazał im Kubę i tak do nich mówi:

— Teraz powiedzcie mi, która z was będzie chciała tego człowieka, bo jedna z was musi wyjść za niego zamąż! Inaczej musiałbym oddać z powrotem trzy centnary złota i nie miałbym za co prowadzić wojny.

— Nie, ja takiego nie chcę. Gdybym miała takiego brać, to wolałbym się powiesić!

A druga mówi:

— Wolę się utopić, niż mieć takiego męża.

Trzecia zaś powiedziała:

— Lepiej się przebić, niż z takim dzikim chłopem iść do ślubu!

A była jeszcze czwarta córka, najmłodsza i najpiękniejsza, tej zrobiło się żal ojca i rzekła:

— Pójdę za niego, bo łatwiej mnie jednej zginąć, niż zginąć ojcu z żołnierzami.

A kiedy tak powiedziała, zaraz wyprawili zrękowiny.

Kuba pojechał potem do domu, tam się ogolił, umył, uczesał, poobcinał paznogcie i zrobił się z niego znowu ładny, udany chłopak. Rokieta przyjechał po niego w sześć koni i z wielką paradą jechali do narzeczonej. Kiedy trzy starsze córki zobaczyły, że Kuba jest taki piękny młodzieniec, zrobiło im się bardzo żal, że go ta najmłodsza dostała. Z welkiej zazdrości jedna powiesiła się, druga utopiła, a trzecia nożem przebiła.

Rokita porwał ich dusze i kiedy już leciał do piekła, tak powiedział Kubie:

— Ty masz jedną pannę, a ja trzy; te trzy dusze mam, którem do ciebie w karty przegrał! Kwita, panie Kuba!

TAK ŚWIAT PŁACI.

Jednej nocy wielka burza zwaliła się na świat. Pioruny biły raz koło razu, a wicher okropny wyrywał drzewa z takim łomotem, że aż na sto mil było słychać. Dopiero nad ranem jakoś się uspokoiło. Deszcz jeszcze siąpał, ale już się robiła pogoda i słonko zaczynało świecić. Chłop, który mieszkał na końcu wsi, niedaleko lasu, wyszedł po śniadaniu z chałupy, popatrzył na świat i myśli sobie, że trzeba iść na patyki, bo jak taka psota na dworze, to zawsze niemało drzew naprzewraca. Zebrał się, wziął toporek i poszedł w górę kamienistą ścieżką tam, gdzie rosną najtęższe sosny. Przystanął sobie koło jednej, która leżała złamana przy wielkiej skale i zaczął okrzesywać sęczki. Aż tu zaczyna coś starsznie jęczeć pod tą skałą. Chłop się zrzasnął, o mało co ze skóry nie wyskoczył i chciał uciekać, ale zastanowił się, zbliżył się znowu potrochu i przypatruje się co tak steka. Wreszcie zapytał się:

— A kto tam taki?

— O mój dobry przyjacielu — odzywa się z pod skały głos żałosny — żebyś ty mnie stąd wybawił, tobym ci już za to dobrze zapłacił.

— A cóż ty mi dasz za to?

— Tak ci zapłacę, jak świat płaci.

Chłop podrapał się w głowę i mówi znowu:

— Jakże cię wybawić? Skała taka wielka, przecie ja ci jej nie ruszę.

— Żebyś dostał skąd drąga i podbił ten drąg pod skałę, abyś tylko trochę ulżył, to ja już wyjdę.

Chłop wziął drąga, podbił ten drąg pod skałę, wtedy zrobiło się dziura, jakieś olbrzymie cielsko zaczęło się tam odwracać i nareszcie wylazł smo,k o siedmiu łbach, straszna bestja.

A skoro tylko wyszedł, zaraz powiedział:

— Teraz ciebie zjem!

— Ale bój się Boga, wyzwoliłem ciebie z takiej niewoli, a ty mnie teraz chcesz zjeść? Jakże to może być?

— Zjem ciebie!

— Przecież mówiłeś, że tak mi zapłacisz, jak świat płaci.

A smok na to:

— Bo świat tak płaci.

Chłop widzi, że niema żadnej rady, więc chciał uciekać, ale tamten mu nie daje, tylko go trzyma za skrzele i co chwila powiada, że go zje.

— Ale ty nie możesz mnie zjeść bez sądu. Przysądzą: mnie zjeść, to mnie zjesz!

— A dobrze, — powiada smok — możemy się sądzić.

Poszli, aż wyszli na dużą polanę, gdzie pasł się jakiś koń.

Smok pokazał na niego:

— To będzie nasz sędzia!

— A niech będzie, przecież nikt tego nie przysądzi, żebyś ty mnie miał zeźreć za taką sztukę.

Przychodzą do tego konia i mówią:

— Ty będziesz naszym sędzią!

Koń zaś, chudzina, co na nim skóra i kości ledwo się trzymały, pyta:

— A o co rzecz idzie?

— Okrzesywałem sączki na sosnie, — mówi chłop — a on jęczał pod wielką skałą. Pytam się:

„Kto tam"?, a on powiada: „Wyratuj mnie stąd, to ci tak zapłacę, jak świat płaci. „Wyratowałem go, a on dopiero powiada, że mnie zje, bo świat tak płaci.

Koń zaś na to:

— Tak świat płaci, tak. Dopóki byłem młody, to mnie mosiądzem, srebrem stroili. Do sześciokonnej karety mnie zaprzęgali, albo puszczali cwałem za zającami. Dobrze mi było, nic innego nie jadłem, tylko czysty owies. A teraz, żem już osłabł i biegać nie mogę, uradzili aby mnie wygnać do lasu, bo „go tu pewno wilcy zjedzą." Tak też tłukę stare kości.

I jeszcze raz powiada:

— Za dobre, to się zawsze złem płaci. Smok dobrze mówi. Tak świat płaci, tak.

Ano nie przystał chłop na ten sąd i mówi:

— Ja jeszcze udam się do wyższego sądu, chodźmy dalej!

Wyszli już z lasu i spotkali psa. Był bardzo wymizerowany, siedział na gnoju i ogryzał kości.

— No panie sędzio — powiada chłop — przyliśmy tu na sprawę.

Opowiedział mu całą rzecz, pies wysłuchał i mówi:

— O, tak świat płaci, tak. Ja, kiedy byłem psem pokojowym, spałem na kanapach i fotelach, jadłem to, co i pan. Potem strzegłem domu w nocy i jeszcze mi się niezgorzej powodziło. Ale kiedy już łap za sobą wlec nie mogę, to mnie wygnali i muszę pożywienia szukać we gnoju, na śmietniskach Smok dobrze mówi, a ty nieboże musisz przegrać sprawę.

— No, widzisz, — rzecze smok — teraz cię zjem, bo już dwóch sędziów się na moje zgodziło.

Ale chłop odprasza się jeszcze, aby innego sędziego szukać i smok zezwolił. Poszli dalej i spotkali barana. Chłop nie chciał go wziąść za sędziego, bo

wiedział, że to stworzenie bojaźliwe, zlęknie się smoka i powie coś jeszcze gorszego, niż tamci — i myśli sobie, żeby to spotkać liszkę, bo mówią, że ona ma siedem sposobów, a ósmy wykręt. Możeby lepszy wydała wyrok.

Aż tu i liszka, co do wsi po kurę chodziła, do lasu leci.

— Hej, hej, — woła chłop — zaczekaj no trochę!

Ale liszka boi się i ucieka dalej.

A chłop woła jeszcze:

— Nie bój się, zaczekaj, będziesz naszym sędzią.

Liszka zawróciła do nich i pyta:

— O co rzecz idzie?

— Leżał smok pod skałą przywalony — opowiada chłop — i jęczał, prosił, żeby go wydobyć, obiecał mi zapłacić, tak, jak świat płaci. Wydobyłem go, a on mnie teraz chce zjeść. Powiada, że tak świat płaci.

A mądra liszka na to:

— Trzeba każdego z was na osobności przesłuchać!

Zawołała najpierw chłopa i powiada do niego:

——Wiesz ty co, ja cię wybawię z tej biedy, ale co ty mi dasz za to?

Chłop się bardzo ucieszył i mówi:

— Dam ci co zechcesz, tylko musisz nas dobrze osądzić!

— Dasz kurę co niedziela?

— Dam ci z wielką ochotą!

— No dobrze, pamiętaj!

Potem zawołała smoka na osobność, dopiero powiada do nich obu:

— Ja tak sprawy prowadzić nie mogę. Żaden z was świadków nie ma, więc mógłabym was osądzić niesprawiedliwie. Musimy moi kochani, pójść w to miejsce, gdzie jest skała. Kiedy się przekonam, jak to było, to was sprawiedliwie osądzę.

Wrócili się w to samo miejsce.

— Jakże to było? — pyta liszka.

— Smok leżał pod skałą — mówi chłop.

— A jakżeś go wydobył?

— Ulżyłem drągiem, a on wyszedł:

— No — powiada liszka — ulżyj teraz też, ulżyjcie obaj!

Jak się wzięli, to i podnieśli skałę.

Chłop przytrzymał ją drągiem, a liszka mówi do smoka:

— Wleź tam, żebym wiedziała, jakeś tam leżał i czy to wielka była praca, żeby się stamtąd wydobyć?

Smok wlazł, położył się na łapach do góry plecami, a liszka powiada znowuż:

— Nie, — tak się połóż, jakeś leżał.

Tak się ten smok położył w znaczki.

A liszka mrugnęła na chłopa, żeby spuścił kamień, zaśmiała się i mówi:

— Siedź tam sobie teraz, choćby do sądnego dnia.

Wtedy chłop jeszcze bardziej się ucieszył i powiada do niej:

— Chodźże ty moja kochana ze mną, pokażę ci moją chałupę, żebyś wiedziała, dokąd masz po kury chodzić,

Zaszli do wsi, a chłop pokazał jej płot koło swojej chałupy:

— Tu pod ten płot przyjdziesz, a ja ci co niedziela kurę na nim powieszę!

— No, dobrze.

I rozeszli się.

Co niedziela chłop nosił kury, nosił i nosił, aż mu się do cna uprzykrzyło i kur też nie stało. Zaczął kraść już sąsiadom, ale nie zawsze ukraść można było, bo sąsiedzi coraz bardziej zaczęli się pilnować. Więc jednej niedzieli cóż on robi: pożyczył strzelby, dobrze prochu podsypał i nabił samemi gran-kulkami,

Z cicha podszedł pod sam płot i zasadził się tak, żeby go widać nie było. Liszka przyleciała po jakimś czasie i szuka kury, a chłop jak do niej wygarnął, tak ją trafił w samo serce. Obaliła się na ziemię, posoka ją oblała, a kiedy śmierć przesłoniła jej oczy bielmem, zawołała tylko:

— O, tak świat płaci, tak!

CZŁOWIEK ZE ZŁOTEMI NOGAMI.

W Pont de Pile żył razu pewnego kowal, który miał sążeń wysokości, lecz silny był, jak para wołów, Był to człowiek czarniejszy niż jego ognisko, miał długą brodę, zjeżone włosy i oczy czerwone, jak rozżarzone węgle. Nigdy noga jego nie postała w kościele i zawsze jadł mięso, nawet w Wielki Piątek. Mówili ludzie, że kowal z Pont de Pile nie pochodzi z chrześcijańskiego rodu. Wiadomo było tylko, że sam w swoim mieszkał domu, że żadnemu z tych, którzy przychodzili z zamówieniami nie wolno było przestąpić progu. Kto chciał od mistrza czegokolwiek, musiał go wywołać. Nie było zaś nikogo takiego, ktoby mógł mu dorównać w obróbce żelaza, a także złota i srebra. Nic więc dziwnego, że nie mógł podołać licznym zamówieniom. W pracy pomagał mu tylko olbrzymi, czarny wilk, zamknięty w dzień i w nocy w kole, przy pomocy którego poruszał się miech kowalski w kuźni.

Siedmiu młodzieńców zgłosiło się do mistrza, aby wykształcił ich w tem rzemiośle, ale próby były tak ciężkie, tak ciężkie, że wszyscy oni po trzech dniach pomarli.

W tym samym czasie żyła w miasteczku La Cote uboga wdowa, która mieszkała w małym domku ze swoim synkiem. Kiedy chłopiec miał już lat czternaście, rzekł pewnego wieczoru do swojej matki:

— Matko moja, urabiamy sobie ręce po łokcie i mimo to nie możemy zarobić na kawałek chleba. Jut-

ro chcę odwiedzić kowala z Pont de Pile i zostać jego uczniem.

— Mój drogi, noga tego człowieka nie postała nigdy w kościele i zawsze je mięso, nawet w Wielki Piątek. Mówią ludzie, że nie pochodzi z chrześcijańskiego rodu.

— Matko, kowal z Pont de Pile nie przywiedzie mnie do grzechu.

— Mój drogi, siedmiu młodzieńców zgłosiło się do niego, aby wykształcił ich w tem rzemiośle, ale próby były tak ciężkie, tak ciężkie, że wszyscy oni po trzch dniach pomarli.

— Matko, ja zaś wytrzymam te próby i nie umrę.

— Mój drogi, zdaję cię na łaskę Boga i Najświętszej Marji Panny.

Poczem oboje udali się na spoczynek.

Następnego dnia o świcie chłopiec stał już przed warsztatem kowala z Pont de Pile.

— Czego chcesz młodzieńcze?

— Hej! Kowalu z Pont de Pile! Hej, hej, hej!

—Kowalu z Pont de Pile chcę zostać twoim uczniem.

— Wejdź do środka młodzieńcze!

Chłopiec wszedł do warsztatu bez lęku i grozy.

— Młodzieńcze pokaż mi, że jesteś silny-

Chłopiec chwycił kowadło siedem centnarów ważące i rzucił je dalej, jak sto sążni.

— Młodzieńcze pokaż mi, że jesteś zręczny!

Chłopiec podskoczył do pajęczyny, namotał ją od jednego do drugiego końca i zwinął na kłębek , nie rozrywając nawet jednej nitki.

— Młodzieńcze pokaż mi, że jesteś odważny!

Chłopiec otworzył furtkę koła, w którem zamknięty był. w dzień i w nocy olbrzymi, czarny wilk co miechem kowalskim poruszał. Wilk natychmiast

wyskoczył, ale jeszcze w skoku chwycił go chłopiec za gardło, odrąbał mu na kowadle ogon i cztery łapy, a potem spalił go żywcem w ogniu na kuźni.

— Młodzieńcze, przetrwałeś wszystkie próby. Jesteś silny, zręczny i odważny. Za trzy dni możesz wstąpić na służbę. Będę ci dobrze płacić, ale nie życzę sobie, abyś u mnie mieszkał lub jadł.

— Mistrzu, będę ci posłuszny.

Uczeń pożegnał kowala z Pont de Pile i odszedł, a idąc tak myślał:

— Moja matka mówiła prawdę. Mój mistrz nie jest taki, jak inni ludzie. Podczas tych trzech dni ukryję się i niewidziany przez niego będę się przypatrywał co on robi. Wtedy dowiem się z kim mam naprawdę do czynienia.

Tak myśląc wrócił do domu.

— Matko, jesteśmy bogaci. Kowal z Pont de Pile przyjął mnie na naukę. Za trzy dni zaczynam. Nie rozkazuję ci matko, lecz proszę, abyś mi dała worek pełen chleba i flaszkę wina. Muszę wyruszyć jeszcze przedtem w daleką drogę, a spieszno mi, abym wrócił na oznaczoną porę.

— Oto masz wszystko drogi synu. Niech dobry Bóg i święta Dzewica chronią cię od wszelkiego zła.

Uczeń pożegnał się z matką i uczynił wszystko tak, jakby miał odbyć jakąś podróż. Tymczasem ukrył się potajemnie w stercie słomy w pobliżu domu kowala z Pont de Pile tak, żeby mógł wszystko widzieć i słyszeć, sam nie będąc widziany ani słyszany. O wschodzie słońca zamknął kowal z Pont de Pile swój warsztat. Ale uczeń nie wierzył mu. Tem szerzej otworzył oczy i nadstawił uszu. Kiedy gwiazdy ukazywały godzinę jedenastą, kowal z Pont de Pile otworzył cichutko drzwi swojego domu i począł się uważnie rozglądać, czy ktoś go nie szpieguje. A potem począł naśladować głos świerszcza:

— Świr, świr, świr chodź moja córko chodź królowo węży! Świr, świr, świr!

— Ojcze. tu jestem.

Królowa węży była długa i gruba, jak worek zboża, a na głowie nosiła kwiat czarnej lilji. Ojciec i córka poczęli pieścić się, nie szczędząc sobie wzajemnych pocałunków.

— No cóż ojcze, czy będziesz mieć ucznia?

— Dziecko moje, za trzy dni będę go miał. Jest on synem wdowy z La Cote. Jest silny, zręczny i odważny.

— Ojcze widziałam go. Kocham go.

— Dobrze, moje dziecko, pożenię was skoro on dosięgnie dpowiedniego wieku. A teraz idź! Północ się zbliża i już jest ostatni czas, abym był gotów.

Królowa węży odeszła, a kowal z Pont de Pile udał się nad brzeg rzeki Gers na łąkę, otoczoną jesionami, topolami, i wierzbami. Chłopiec wypełznął ze słomy i kryjąc się za drzewami szedł cicho, cichutko w ślady mistrza. Kowal z Pont de Pile rozebrał się do naga jak zwierzę i ukrył swoje szaty w spróchniałej wierzbie. Potem ściągnął swoją skórę od głowy aż do nóg i zjawił się jako wielka wydra.

— Muszę dobrze schować swoją ludzką skórę, — rzekł — bo gdybym jej o świcie nie znalazł, musiałbym raz na zawsze wydrą zostać.

Schował swoją skórę do spróchniałej wierzby i właśnie wtedy, kiedy gwiazdy północ wskazywały, skoczył do rzeki. Uczeń widział, jak pływał, jak się na same dno zanurzał i wracał stamtąd z karpiem albo węgorzem w pysku i jak je w śwetle księżyca pożerał. Tak się działo aż dzień zaświtał. Wówczas kowal z Pont de Pile wyszedł z wody, naciągnął na siebie ludzką skórę,włożył ubranie i wrócił do domu, nic nie przeczuwając, że mu się przyglądano. A uczeń

schował się znowu do sterty słomy. Podczas następnych dwóch nocy widział i słyszał to samo, co widział i słyszał pierwszej nocy.

— Doskonale , — rzekł — mój mistrz jest ojcem królowej wężów. Co noc przychodzi ona, aby zobaczyć się z nim i z nim rozmawiać. Królowa wężów jest zakochana we mnie i chce się ze mną ożenić skoro dosięgnę odpowiedniego wieku. A mój mistrz jest przeklęty i musi każdego wieczoru zamieniać się w wydrę, od północy do pierwszego brzasku. Dobrze jest o tem wiedzieć, ale nie wolno nic mówić.

Rankiem trzeciego dnia zjawił się uczeń w warsztacie, jak głupiec, który nic nie widział ani nie słyszał.

— Dzień dobry, mistrzu! Chcę rozpocząc naukę.

I oto nauka zaczęła się. Po pietnastu latach uczeń umiał już więcej od swojego mistrza. Ale postępował tak, jakgdyby nie był jeszcze tak zręcznym, obawiał się bowiem, aby nie wzbudzać zazdrości kowala z Pont de Pile.

Pewnego wieczor rzekł mistrz do ucznia:

— Posłuchaj mnie! Za trzy miesiące markiz de Fimarcon wydaje swą córkę za króla wysp morskich. Oblubienica potrzebuje wielkiej ilości klejnotów. Otrzymałem już odpowiednie zlecenie. Jutro rano wyjedziesz najprzód wraz z narzędziami. W zamku w Lagarde nie zabraknie złota i srebra, ani djamentów i wszelkich szlachetnych kamieni. Pracuj jak najlepiej potrafisz, wykonaj robotę z grubsza, a na miesiąc przed ślubem znajdę się tam, zobaczę, czy wszystko dobrze idzie i wykonam mnóstwo rzeczy, których ty nigdy zrobić nie potrafisz.

— Będę ci posłuszny mistrzu!

Następnego dnia wczesnym rankiem udał się uczeń wraz z narzędziami do zamku w Lagarde. Zaraz po śniadaniu wziął się do pracy. Nie brakowało

mu ani złota ni srebra, ani djamentów ani innych szlachetnych kamieni.

— O mistrzu, — pomyślał — zbliża się czas, kiedy będziesz się musiał zastanowić, czy naprawdę jest wiele takich rzeczy, którychbym zrobić nie potrafił.

I kuł uczeń złoto, kuł srebro, oprawiał djamenty i drogie kamienie. Nigdy jeszcze przedtem nie wi dziano tylu pięknych pierścieni, tylu naszyjników i zausznic i nigdy już nikt czegoś podobnego nie zoba czy. Panowie i służba zamku w Lagarde chwalili niesłychanie ucznia, tylko najmłodsza córka markiza de Fimarcon milczała, a była ona piekna jak wiosenny poranek i skromna, jak święta pustelnica.

Od rana do wieczora przyglądała się jednak pracy ucznia.

Wreszcie jednego dnia, kiedy byli sami małe dziewczę poczeło mówić:

— Uczniu, kochany uczniu,robisz tak piękne rzeczy dla mojej starszej siostry. A czy pracowałbyś jeszcze lepiej dla jakiejś innej dziewicy? Powiedz mi!

— O tak, miłe dzewczę, gdybym miał ukochaną, to zrobiłbym dla niej naszyjnik, z którymby nie można było żadnego innego porównać.

— Uczniu, kochany uczniu, jakżeby wyglądał ten nieporównany naszyjnik? Powiedz mi!

—Dla mojej ukochanej, o miłe dziewczę, zrobiłbym złoty naszyjnik, piękny złoty naszyjnik z żółtego złota, lśniący, jak słońce. Ten naszyjnik wyciągnąłbym rozżarzony z czerwonego pieca i hartowałbym go w czarze krwią moją wypełnionej. Kiedy zaś zostałby już zahartowany, wrzuciłbym go znów do czerwonego pieca, a tymczasem moja ukochana obnażyłaby się po pas. Potem włożyłbym jej na szyję piękny, złoty naszyjnik, a onby przywarł mocno do jej ciała, tak mocno, że ani Bóg ani szatan nie zdołałby go oderwać. I dzięki temu naszyjnikowi moja uko-

chana nie mogłaby do nikogo innego, tylko do mnie należeć i o nikim innym myśleć, jak tylko o mnie. I jak długoby się dobrze mi wiodło, byłby ten piękny złoty naszyjnik czysty i lśniący. Ale gdyby mnie nieszczeście spotkało, stałby się czerwony, jak krew. Wtedy moja ukochana miałaby trzy dni czasu, aby być gotowa. Musiałaby powiedzieć rodzicom: „Pochowajcie mnie w sukni ślubnej z welonem, z wieńcem kwiatów pomarańczowych na głowie i z bukietem bałych róż u pasa.", Trzeciego dnia zasnełaby, a wszyscy wierzyliby, że umarła. Potem pochowanoby ją tak przystrojoną, a ona żyłaby dalej śpiąc tak długo, jak długo nieszczęście nie odeszłoby odemnie. Gdybym umarł i ona byłaby zgubiona. Ale gdyby nieszczęście przestało mnie gnębić, przyszedłbym, aby ją obudzić i wówczas bylibyśmy mężem i żona.

— Uczniu, kochany uczniu, wykuj ten piękny, złoty naszyjnik!

W siedem godzin był gotów już naszyjnik z żółtego złota i błyszczał, jak słońce. Potem rzucił go uczeń do czerwonego pieca, wyciągnął nóż i przeciął nim swoje ramię, a kiedy krew ściekła do czaszy, hartował w niej piękny, złoty naszyjnik tak długo, aż zahartowany został. Potem rzucił go znowu w żar czerwony, dął wytrwale i z całej siły, a tymczasem małe dziewczę obnażyło się po pas. Wtedy włożył piekny, złoty naszyjnik na jej szyję, a on tak mocno zrósł się z jej ciałem, że ani Bóg ani szatan nie zdołałby go oderwać.

— Uczniu, kochany uczniu, teraz jestem twoją ukochaną. Dzięki temu naszyjnikowi nie mogę do żadnego innego należeć, jak tylko do ciebie i o nikim innym myśleć, jak tylko o tobie.

I małe dziewczę poszło do swojej komnaty. Ani rodzice ani służba nie dowiedzieli się nigdy o tem, co się stało.

Następnego dnia przybył kowal z Pont de Pile.

— Dzień dobry, mistrzu!

— Dzień dobry, uczniu. Oto pracowałeś przez dwa miesiące. Przybyłem aby zobaczyć, czy robota postępuje w porządku i aby wykonać mnóstwo rzeczy, których ty nigdy zrobić nie potrafisz.

— A więc patrz, mistrzu!

I uczeń pokazał mistrzowi to, co wykuł ze złota i srebra, pokazał obrobione djamenty i drogie kamienie, pokazał piękne pierścienie naszyjniki i zausznice. Kowal z Pont de Pile począł się śmiać.

— Uczniu, już ja cię niczego więcej nauczyć nie zdołam. Ty umiesz więcej odemnie. Teraz jeteś wolny i możesz założyć pracownię na własny rachunek. Ale uczynisz mi wielką uprzejmość, jeśli jeszcze na trzy miesiące wrócisz do mojego warsztatu.

Potem poszedł kowal z Pont de Pile ze swoim uczniem do markiza de Fimarcon.

— Dzień dobry, markizie de Fimarcon!

— Dzień dobry, kochani przyjaciele! Czego chcecie odemnie?

— Markizie de Fimarcon, — rzekł kowal z Pont de Pile — nie mamy już tutaj nic do roboty. Mój uczeń pracował lepiej, niż jabym to potrafił. Należy mu wypłacić pieniądze.

— Weź, uczniu, tu jest tysiąc luidorów.

— Markizie deFimarcon, ja nie chcę żadnej zapłaty. Jeżeli ciąży ci panie tych tysiąc luidorów, rozdaj je biednym!

Obaj pożegnali się z markizem de Fimarcon i wrócili z powrotem do Pont de Pile.

W siedem dni potem rzekł mistrz do ucznia:

— Uczniu mój, jutro będzie jarmark w Condom. Musimy tam być wcześnie. A więc wypijmy po jednym łyku i dalejże w drogę!

— Za wasze zdrowie, mistrzu!

— Za twoje, uczniu!

Ale kowal z Pont de Pile wsypał do wina nasennego proszku, który był tak mocny, że uczeń odrazu przewrócił się i zasnął snem kamiennym. Kowal z Pont de Pile skrępował mu wtedy ręce i nogi powrozami i łańcuchami, a usta zatkał mu szmatą. Kiedy uczeń odzyskał przytomność, kuźnia płonęła, jak piekielne ognie, a kowal ostrzył zęby nowej piły.

— Uczniu, ty łajdacki uczniu, chciałeś więcej umieć od twojego mistrza. Teraz jesteś w mojej mocy. Nikt tu nie przyjdzie, aby cię wybawić! Jeśli nie będziesz mi posłuszny, czeka cię śmierć i męki straszne. Czy chcesz poślubić moją córkę, królowę węży?

Usta ucznia były zakneblowane, więc potrząsnął głową, aby odmówić. Wtedy kowal z Pont de Pile wziął swoją nową piłę. Piłował pomału, pomalutku lewą nogę ucznia, aż ją odpiłował i spalił na kuźni.

— Uczniu, czy chcesz poślubić moją córkę, królową węży?

Uczeń potrząsnął głową, aby odmówić. Wtedy kowal z Pont de Pile wziął znowu swoją nową piłę. Piłował pomału, pomalutku prawą nogę ucznia, aż ją odpiłował i spalił na kuźni.

— Uczniu, czy chcesz poślubić moją córkę, królową węży?

Uczeń potrząsnął głową, aby odmówić. Wtedy kowal z Pont de Pile pojął, że traci czas i trudzi się niepotrzebnie. Rzucił ucznia na wóz, przykrył go słomą i począł tak smagać biczem swojego konia, że on pomknął, jak błyskawica.

O zachodzie słońca byli już daleko, bardzo daleko, daleko poza równinami, poza krajem jodeł i świerków. Znaleźli się nad brzegiem morza, w kraju wężów, gdzie panowała córka kowala z Pont de Pile. A była tam wieża bez dachu, bez drzwi i bez okien, z kałużą wody tylko pośrodku. Wieża ta miała sto

sążni wysokości. Mury były wzniesione z tak twardego kamienia i tak trwałem wapnem spojone, że żaden cios, żaden wybuch nie zdołał ich napocząć. Tylko królowa węży mogła wychodzić i wchodzić przez otwór, który się zaraz potem zamykał. Kowal z Pont de Pile i królowa węży zwołali wielkie orły z gór.

— Wielkie orły z gór, słuchajcie! Słuchajcie uważnie, abyście wypełniły dokładnie to, co wam zostanie zlecone. Weźcie tego nicponia i zanieście go do wieży. Będzie on w niej zamknięty dopóki nie poślubi mojej córki. Będzie spał na gołej ziemi, a niebo będzie mu dachem. Jeśli zechce mu się pić, niech pije brudną wodę z kałuży. Ale niechaj nie zbywa mu na żelazie, złocie i srebrze, a nawet na djamentach i drogich kamieniach. Całą jego robotę mnie przyniesiecie. A kiedy po sto razy na to zapracuje, zrzućcie mu kawał chleba, czarnego, jak węgiel, gorzkiego, jak żółć.

Wielkie orły z góry wysłuchały rozkazów.

Przez siedem lat przebywał uczeń samotnie w wieży, leżał na ziemi, a niebo było mu dachem. Kiedy chciało mu się pić, pił z brudnej kałuży. Nie zbywało mu na żelazie, złocie i srebrze, a nawet na djamentach i drogich kamieniach. Całą jego robotę odnosiły wielkie orły z gór kowalowi z Pont de Pile. Kiedy uczeń po sto razy na to zapracował, zrzucały mu kawał chleba, czarnego, jak węgiel, a gorzkiego jak żółć. Tymczasem uczeń niezawsze pracował dla swojego mistrza. Za swojem kowadłem wygrzebał głęboką dziurę i tam chował rzeczy, które kuł dla siebie, a wielkie orły z gór nie zauważyły tego. Ukuł najpierw siekierę z wybornej stali, siekierę szeroką i dobrze naostrzoną. Potem ukuł pas żelazny, żelazny pas w trzy haki zaopatrzony. A potem ukuł parę nóg ze złota, które były tak dobrze zrobione,

tak doskonale dopasowane, jak własne nogi z własnego ciała, które mu kowal z Pont de Pile odpiłował i spalił. A wreszcie ukuł on sobie dwoje wielkich skrzydeł, które były bardzo lekkie, tak lekkie, jak jedno piórko. I trwała jego praca przez lat siedem.

Każdego wieczora po zachodzie słońca przychodziła królowa węży do wieży przez otwór, który tylko dla niej się otwierał i zaraz po jej wyjściu znowu się zamykał.

— Uczniu, twoja męka skończy się, skoro zostanę twoją żoną.

— Odejdź, królowo wężów, mam inną ukochaną. Nigdy, przenigdy jej na ciebie nie zamienię.

Takie słowa wymieniali pomiędzy sobą każdego wieczoru.Ale kiedy już wszystko było gotowe, inaczej mówił uczeń.

— Uczniu, twoja męka skończy się, skoro ja zostanę twoją żoną.

— Chodźże, chodź, królowo wężów, nie dbam już o moją ukochaną. Nigdy, przenigdy nie chcę już o niej myśleć!

Królowa wężów ułożyła się na ziemi u boku ucznia, objęli się ramionami i aż do wschodu słońca mówili o miłości.

— Uczniu, twoja męka musi się skończyć! Niedługo zostanę twoją żoną. Bądź zdrów! Dziś wieczorem, kiedy słońce zajdzie, przyjdę znowu.

— Bądź zdrowa, królowo wężów! Czas będzie wydawał mi się długi.

Wieczorem, na godzinę przed zachodem słońca pomyślał uczeń:

— Teraz ja śmiać się będę!

Wziął swoją siekierę z wybornej stali, swoją szeroką i dobrze wyostrzoną siekierę. Opasał się pasem żelaznym, żelaznym pasem w trzy haki zaopatrzonym i umocował swoje złote nogi. Potem

przywarł do muru i czatował właśnie koło tego miejsca. którędy królowa wężów zwykła była wchodzić do wieży. A kiedy królowa wężów weszła, uczeń stanął nogą na jej szyi. Zwróciła się ku niemu z sykiem, ale ukąsiła go tylko w złote nogi. Jednem uderzeniem siekiery odciął głowę od kadłuba i uwiesił je przy swoim żelaznym pasie. Potem rozpostarł swoje wielkie skrzydła, które były bardzo lekkie tak lekkie, jak jedno piórko i wzniósł się na nich aż na szczyt wieży. Noc już zapadała. Uczeń spojrzał w niebo, aby odnaleźć swoje położenie i wedle gwiazd drogę wytknąć. Potem począł lecieć, a leciał sto razy szybciej od jaskółki.

Wreszcie zatrzymał się na dachu szpitala w Lectoure, skąd widać było miasteczko La Cote, domy w Pont de Plle i rzekę Gers. Na wszystkich wieżach miasta wybiła godzina jedenasta. Spojrzał w stronę Pont de Pile i ujrzał w świetle księżyca, że kowal opuszcza swój dom, aby zamienić się w wydrę i aż do świtu przebywać w rzece Gers. Czekał aż do pierwszego uderzenia północy. A potem lotem stokroć od jaskółki szybszym opuścił się aż do spróchniałej wierzby, w której kowal z Pont de Pile ukrywał co noc swoją ludzką skórę. W okamgnieniu zawiesił ją na haku swojego żelaznego pasa, a sam kołysał się ponad rzeką na wysokości sto sążni.

— Hej! Kowalu z Pont de Pile! Hej, hej, hej!

— Czego chcesz odemnie, wielki ptaku?

— Kowalu z Pont de Pile, przynoszę ci wieści o twojej córce, wieści o królowej wężów.

— Mów, wielki ptaku!

— Nie jestem wielkim ptakiem. Jestem twoim uczniem. Przez siedem lat cierpiałem męki śmiertelne we wieży nad brzegiem wielkiego morza. Kowalu z Pont de Pile, chcesz wieści o twojej córce, wieści o królowej wężów, więc słuchaj. Twoja córka została

rozcięta na dwie części, jej głowa i jej tułów wiszą u mojego żelaznego pasa. Oto one! Szukaj ich w rzece i staraj się razem złatać.

Kowal z Pont dePile krzyknął tak przeraźliwie, jak orzeł górski.

— Kowalu z Pont de Pile, to jeszcze za mała pokuta. Szukaj twojej skóry ludzkiej w spróchniałej wierzbie. Szukaj jej, mój przyjacielu! Szukaj jej dobrze! Ona także wisi u mojego żelaznego pasa• Teraz tedy zostaniesz wydrą na zawsze.

Kowal z Pont de Pile zanurzył się w rzece i nigdy już, nigdy nie zobaczono go.

Uczeń zaś poleciał stamtąd, sto razy szybciej od jaskółki do domku swej matki.

— Puk, puk!

— Otwórz matko!

— Jezus Marja! To ty mój synu. Od siedmiu lat czekam na ciebie.

— Matko, nie miałem czasu, aby przyjść wcześniej• Cieszę się widząc, że Bóg i Najświętsza Marja Panna zachowali cię przy dobrem zdrowiu. Teraz, droga matko, jestem w stanie zarabiać bardzo wiele, a ty możesz robić co ci się podoba. Nie rozkazuję ci matko, ale proszę, rozpal wielki ogień. Zagrzej ruszt, połóż na stole kawałek chleba i postaw miarkę wina. Mięso sam podam, ono wisi u mojego żelaznego pasa•

— Jezus Marja, mój synu! Toż to skóra chrześcjańska.

— Matko, to jest skóra kowala z Pont de Pile. On nie był z chrześcjańskiego rodu. Nigdy, już nigdy więcej go nie zobaczysz.

W godzinę potem skóra została ugotowana i zjedzona•

— A teraz, kowalu z Pont de Pile, próbuj, czy znajdziesz swoją skórę w moim brzuchu!

Potem włożył uczeń znowu swoje wielkie skrzydła, które były bardzo lekkie, tak lekkie, jak jedno piórko i poleciał sto razy szybciej od jaskółki. Za pięć minut stanął przed drzwiami kaplicy zamkowej Lagarde, gdzie jego ukochana pochowana została i gdzie spała wciąż słodko. Jednem uderzeniem swoich ramion wywalił drzwi. Potem zapalił świece od lampy, która w dzień i w nocy pali się na cześć Przenajświętszego Sakramentu. Uniósł kamienną płytę grobowca z taką łatwością, jakby była z korku, wskoczył do środka i oderwał wieko trumny, w której leżała jego ukochana.

— Hej! Małe dziewczę wstawaj. Siedem lat spałaś!

— Ach to ty jesteś, kochany uczniu. A więc nieszczęście już odeszło od ciebie! Patrz na mnie! Uczyniłam wszystko tak, jak mi rozkazałeś. Jestem ubrana w suknię ślubną z welonem, mam wieniec z kwatów pomarańczowych na głowie i bukiet z róż u pasa.

— Małe dziewczę, wstawaj!

Małe dziewczę podniosło się, a uczeń zaniósł ją do kaplicy, gdzie długo wznosili modły do Boga.

— Małe dziewczę, dzień się już zbliża. Idź do swojej komnaty i czekaj, aż cię zawołam.

— Kochany uczniu, będę ci posłuszna.

Potem poszedł uczeń do władców zamku.

— Dzień dobry, markizie i markizo de Fimarcon. Czy mnie poznajecie?

— Nie, mój przyjacielu, nie poznajemy ciebie.

— To szkoda. Jestem uczniem kowala z Pont de Pile. Przed siedmiu laty pracowałem tutaj przez dwa miesiąca, kiedy wasza najstarsza córka miała zaślubić króla wysp morskich.

— To prawda, uczniu. Teraz poznajemy ciebie.

— Markizie i markizo de Fimarcon mieliście młod-

szą córkę, małe, trzynastoletnie dziewczę. Czy teraz jest już ona żoną jakiegoś księcia?

— Uczniu, nasza młodsza córka jest już w niebie. Przed siedmiu laty zabrał nam ją dobry Bóg. Pochowaliśmy ją tak, jak ona sobie życzyła, w ślubnej sukni z welonem, a wieńcem kwiatów pomarańczowych na głowie i z bukietem białych róż u pasa.

— Markizie i markizo de Fimarcon, przysięgnijcie mi na zbawienie dusz waszych i na karę wiecznego potępienia, że mi oddacie waszą córkę za żonę, jeśli zwrócę wam ją żyjącą.

— Na zbawienie dusz naszych i na karę wiecznego potępienia przysięgamy!

— Markizie i markizo de Fimarcon wołajcie prędko księdza, ja idę po waszą córkę.

I po chwili uczeń przyprowadził małe dziewczę. Zaślubiono ich tegoż ranka, a wesele trwało dni czternaście. Uczeń i jego żona żyli długo i szczęśliwie i mieli dwunastu syów. Najstarszy był bardzo silny i najpiękniejszy ze wszystkich. Ale miał on całe ciało pokryte włosiem, które było delikatne i brązowe, tak, jak u wydry. Powód zaś był taki, że jego ojciec w dniu ślubu upiekł na ruszcie i zjadł ze smakiem skórę człowieka, skórę kowala z Pont de Pile.

O BIEDNYM I BOGATYM BRACIE

Było dwóch braci, jeden z nich był biedny, a drugi bogaty. Ten bogaty miał wszystkiego pod dostatkiem, pieniądze, jak mówią, szły mu, jak woda rzeką. A biedny, chociaż przez dzień cały w pocie czoła pracował, ledwo się mógł wyżywić ze swoją rodziną. Biedowali więc z żoną i dziećmi przez całe życie, aż przyszedł najgorszy rok. Wtedy na całym świecie nastał taki okropny głód, że ludzie puchli i marli nędznie, jak muchy. Bogatemu nic złego stać się nie mogło, boć miał dobre zapasy i było czem biedę przetrzymać, ale na chudziaków przyszła ostatnia godzina.

Biedny brat nie miał już od kilku dni ani kęska chleba, a dzieci tak zesłabły, że nawet płakać nie miały siły. Więc umyślił on sobie pójść do brata bogatego z prośbą o wspomożenie, choć tego nigdy jeszcze nie robił, bo wiedział, że tamten jest serca bardzo twardego. Ale innej rady nie było. Przyszedł biedny brat do bogatego brata i mówi:

— Kochany bracie zmiłuj się i pożycz choć kawałek chleba, bo mi dzieciaki i kobieta z głodu pomrą.

A tamten zapytał:

— Pieniądze masz?

— Nie mam bracie żadnych pieniędzy.

— To cóż ty mi dasz za chleb?

— Weź co chcesz, bylebym tylko mógł swoich poratować!

A wtedy bogaty brat mówi tak:

— Dobrze, dam ci bochenek chleba, a ty mi dasz za to wyłupić sobie jedno oko.

Biedny brat wspomniał na swoją nędzę i powiada:

— Dobrze, bierz oko, kiedy masz takie wymaganie.

Bogaty wydłubał mu jedno oko i dał bochenek chleba. Biedny zaniósł go zaraz swoim dzieciom, a dzieci zjadły i płaczą, bo im się jeszcze więcej jeść zachciało.

Poczekał biedny do drugiego dnia i nazajutrz idzie znowu z samego rana do bogatego brata i powiada:

— Bracie zmiłuj się i pożycz mi jeszcze chleb!

— Dam ci jeszcze chleba, ale daj mi wyjąć sobie drugie oko!

— No, kiedy tak chcesz koniecznie, to weź sobie i drugie oko, może ci to serce zaspokoi. O jedno cię tylko proszę, abyś ten chleb zaniósł moim dzieciom, a mnie samego zaprowadź straszliwy bracie na rozstajne drogi pod figurę. Tam sobie dołek wygrzebię, będę się modlił do Pana Boga, a ludzie, którzy będą jechali i szli drogą, dadzą mi po groszu, po dwa, jak kogo na co stać.

Bogaty się zgodził, zaraz wyłupił to drugie oko, chleb zaniósł dzieciom, wrócił i począł prowadzić biednego. Prowadził go długo, bardzo długo, aż wreszcie zatrzymali się, a on powiada:

— Tu jest ślepaku w sam raz dobre miejsce dla ciebie.

A nie były to żadne rozstajne drogi ani Boża Męka, tylko na polu pod lasem stało wielka szubiecica. Tam go okrutny brat zostawił i, wracając do domu, jeszcze naśmiewał się z niego. Biedny ślepiec wygrzebał sobie dół aż po samą szyję i wlazł do środka, aby w dzień prosić przechodzących o chleb, a w nocy schować się przed zimnem i dzikim zwierzem.

Ale napróżno nadsłuchiwał, nie dochodziły go ani głosy ludzkie, ani turkot przejeżdżających wozów. Nikt mu nic nie dał, bo tamtędy żadna nie prowadziła droga. Nie wiedział nawet dobrze, gdzie się znajduje. Domyślał się tylko, że jest blisko jakiegoś miasta, bo słychać było raz po raz bicie wieżowego zegara.

A kiedy noc nadeszła, wlazł jeszcze głębiej w dół, nakrył się liśćmi i tak siedział zrozpaczony i zbolały, napróżno snu przyzywając.

Wtem, kiedy zegar dwunastą godzinę wydzwonił, usłyszał straszny szum i trzepotanie wielkich skrzydeł. A to przyleciały trzy czarne kruki, usiadły na szubienicy, jeden zaś z nich tak się odezwał:

— Opowiadajcie bracia jeden po drugim coście widzieli, o czemście słyszeli na szerokim świecie!

— Dobrze, — mówi drugi — ale trzeba zobaczyć, czy nas kto na dole nie podsłuchuje?

Zleciał z góry i obejrzał się dokoła po ziemi, a w biednym bracie aż serce zamarło ze strachu. Widać jednak nie zobaczył go, bo po chwili usłyszał głos ponad sobą:

— Niema nikogo!

Wtedy pierwszy kruk tak zaczął mówić:

— Ja, bracie, lecę od jednego króla, którego córka już od lat sześciu bardzo ciężko choruje i nikt nie zna sposobu, żeby jej zdrowie przywrócić, a to przecież niewielka rzecz. Trzeba tylko wiedzieć, że w tej samej izbie, w której leży chora królewna, siedzi pod podłogą wielka ropucha. Jednego razu królewna poszła do spowiedzi, ale komunji nie przyjęła, połknęła ją zaś ropucha, która siedzi teraz pod podłogą i okropnie się pasie — ona tłuścieje i rośnie, a królewna coraz bardziej schnie i choruje. Moi bracia, gdyby kto wiedział o tem, toby wyciągnął ropuchę. spalił ją na popiół, ten popiół zmieszał z trze-

ma szklankami wody i dał wszystko wypić królewnie, i onaby zaraz wyzdrowiała.

Zapytali potem drugiego:

— A ty o czem słyszałeś?

— Ja, moi bracia, lecę z miasta dużego, a w tem mieście jest wielka bieda, bo niema wcale wody i ludziska muszą je wozić aż siedem mil drogi. Ale możnaby temu łatwo zaradzić, gdyby wiedzieli, że to morski kret wwalił kamień do źródła największego. Trzeba tylko na samym środku rynku wykopać dół, przynajmniej na trzydzieści łokci głęboki, a wtedy łatwo będzie wydobyć ten kamień i woda zacznie tryskać tak, jak dotąd tryskała.

A kiedy tamci dwaj skończyli opowiadać, zaczął trzeci:

— A ja wam mówię, że wasze nowiny niewiele są warte. Opowiem wam coś tak strasznego, że chyba nikt jeszcze o tem na świecie nie słyszał. Oto biedny brat prosił bogatego brata o chleb dla głodnych dzieci, ten dał wprawdzie chleba, ale za zapłatę wyłupił mu obydwa oczy. Straszna mu się krzywda stała, ale gdyby go ktoś pod naszą szubienicę przyprowadził, byłoby to dla niego prawdziwe szczęście. Jutro rano bowiem upadnie tu taka rosa, że gdyby nią potarł swoje rany, zarazby mu nowe oczy wyrosły.

Kiedy kruki te nowiny już sobie wypowiedziały, załopotały znowu skrzydłami i poleciały w różne strony świata.

Ślepy, który się skrył w dole pod szubienicą, wysłuchał dobrze wszystkiego i otucha wstąpiła w jego smutne serce. Z wielką niecierpliwością czekał ranka. Wreszcie, kiedy bicie zegara oznajmiło mu, że zbliża się świt, wygramolił się z dołu i poomacku wszedł w łąkę, gdzie rosła wielka trawa. Drżącemi rękoma zgarniał chłodną rosę, położył dłonie na zakrwawio-

nych jamach — i o dziwo — poczuł, że ma znowu jasne zdrowe oczy. Podniósł powieki i spojrzał na miły świat. Uśmiechnęło się do niego słońce, wstając z pośród mgieł porannych, zobaczył znowu lasy granatowe, łąki zielone i bursztynowe łany dojrzewającego zboża. Uszczęśliwiony padł na kolana i Bogu serdecznie za Jego wielką łaskę dziękował.

Potem urżnął sobie w lesie kij wędrowny i poszedł zaraz do tego królewstwa, w którem już od lat sześciu chorowała nieszczęśliwa królewna. Po drodze wypytywał się ludzi, co to za królestwo i dopiero po tygodniu zaszedł do niego. A kiedy przybył już do stolicy, wstąpił do karczmy i pyta się żyda:

— A cóż tu u was nowego słychać?

— Nic nowego nię słychać — mówi żyd — tak, jak dawniej choruje nasza królewna. Minęło już sześć lat od początku choroby i ciągle zwożą do niej rozmaitych doktorów, ale żaden jej pomóc nie umie.

— A ja mógłbym ją wyleczyć! — rzekł chłop.

Karczmarz dał zaraz znać do pałacu królewskiego, że przyszedł do niego taki człowiek, który mówi, że może przywrócić zdrowie królewnie. Nie minęła godzina, aż tu przed karczmą zajeżdża złocista kareta, a cztery siwe konie krzeszą iskry kopytami. Zawieźli biednego chłopa do pałacu i zaprowadzili do królewny, co słabiutka, bledziutka w łożeczku leżała. Obejrzał ją dobrze, jakby był prawdziwym doktorem i kazał się do króla zaprowadzić. A król pyta się go, czy ma na tę chorobę lekarstwo!

— Mam, — odpowiada chłop — ale niech mi król da czterech mocnych pachołków.

Zaraz stawili się tacy, jakich potrzebował, a on kazał im wziąć drągi i wszyscy poszli znowu do królewny. Tam unieśli w górę całą podłogę i tak, jak to opowiedział kruk na szubienicy, zobaczyli opasłą, strasznie wielką ropuchę z brzydkiemi, zielonemi

oczyma. Wystraszyli się królewscy pachołcy, ale chłop śmiało schwycił to plugawe stworzenie i wsadził do worka. Potem pokazał królowi, król się bardzo zadziwił, bo jeszcze nigdy w życiu takiego potwora nie widział.

Chłop tymczasem napalił w żelaznym piecu i wsadził ropuchę do środka. A kiedy się spaliła, zgarnął popiół, nasypał go do trzech szklanek wody i zaniósł królewnie do wypicia. Zaraz potem zasnęła ona bardzo twardo i obudziła się na drugi dzień zdrowa, wesoła i rumiana.

Wielka była radość na królewskim dworze, wszyscy chwalili i wysławiali biednego brata, a król chciał mu dać za to wielkie posiadłości, na których mógłby gospodarzyć do samej śmierci. Ale on nie chciał takiej nagrody, tylko wziął pełną brykę złotych pieniędzy i zaraz wyruszył w dalszą drogę do owego miasta, gdzie już od lat wielu brakowało wody. Nie szedł już piechotą, lecz szumnie i dwornie jechał, bo miał koni i wozów pod dostatkiem. Kiedy zaś przybył do miasta bez wody, udał się prosto na ratusz i o wszystko wypytywał burmistrza, który mu obiecał bardzo hojną zapłatę, gdyby pomógł im w tej biedzie.

Zaraz zabrał się do roboty. Wziął sobie ludzi do pomocy i kazał na samym środku rynku kopać wielki dół. Kiedy ukopali już więcej, niż trzydzieści łokci, natknęli się na olbrzymi kamień. Skoro tylko drągami go podważyli i na bok odwalili, woda uderzyła stamtąd tak mocno, że ledwo zdążyli uciec. I było od tej chwili więcej wody w mieście, niż kiedykolwiek.

Uradowani mieszczanie obdarowali ubogiego brata wszelkiem dobrem i pieniędzmi i klejnotami i drogiemi szatami. Chcieli go też koniecznie w mieście zatrzymać i z najbogatszą panną wyswatać, ale on nie

chciał słuchać o niczem, bo go już wielka wzięła tęsknota za żoną i dziećmi.

Nie szukając już niczego po świeci,e wyruszył w rodzinne strony.

Dopiero na drugi dzień późnym wieczorem przyjechał do swojej chałupy. Wielka była z jego powrotu uciecha, nie spodziewali się wcale, że go jeszcze żywego zobaczą, a on tymczasem zjawił się ubrany pięknie z pełnemi workami złota.

Zaraz sobie wszyscy podjedli smacznie i położyli się spać z dobrą myślą o jutrze.

Rano posłał on swoją kobietę do bogatego brata, żeby mu pożyczył ćwierci.

Bogaty się roześmiał i powiada:

— Cóż ten ślepy łajdak będzie ćwiercią mierzył, chyba piasek?...

Ale nareszcie pożyczył. Ten, który był dawniej biedny, przemierzył ćwiercią wszystkie swoje pieniądze, wsadził za obręcz złotego dukata i kazał dziewczynie odnieść ćwierć bratu.

Ten zaś wciąż myślał i myślał.

— Cóż ten ślepak mógł mierzyć? Może tu coś przylgnęło?

Przewrócił ćwierć do góry dnem, uderzył o ziemię, a z pod obręczy wyleciał złoty dukat.

Bogaty aż zatrząsł się z wielkiego zdziwienia i powiada do siebie:

—Skąd on wziął tyle pieniędzy, że aż je ćwiercią mierzy. Trzeba iść i spytać się.

Poleciał zaraz do niego i woła:

— Skąd, ty bracie, nabrałeś tyle pieniędzy?

Tamten uśmiechnął się i opowiedział wszystko, jak się stało. Potem zaprowadził go do komory i pokazał wielkie swoje bogactwa. Zabłysło złoto, drogie kamienie zapaliły się wielkim blaskiem i migotały piekne szaty. Kiedy patrzył na to wszystko chciwy

brat, dygotał jak w febrze. I nie zaznał od tej chwili spokoju. Jeszcze tego samego poleciał pod szubienicę i tam sobie własnemi rękoma obydwa oczy wydłubał. Usiadł potem i czekał z wielką niecierpliwością.

Skoro zegar na wieży północ wydzwonił, przyleciały z wielkim szumem te same czarne kruki. Siadły na szubienicy i zaczęły, jak wtedy rozmawiać:

— Wiecie wy bracie, że w tem królestwie, gdzie królewna od lat sześciu chorowała, znalazł się taki człowiek, co ją wyleczył?

— W tem mieście bez wody — mówi drugi — ktoś kamień odwalił i wodę wyszukał.

— Ja słyszałem, — zawołał trzeci kruk — że ten biedny brat, któremu bogaty wyłupił oczy znowu dobrze widzi.

— Nie może być inaczej, tylko ktoś nas tutaj podsłuchał! — krzyknęli tamci.

— Trzeba zobaczyć, może i teraz ktoś się schował pod szubienicą.

Zaraz jeden zleciał na ziemię i zobaczywszy złego brata krzyknął przeraźliwie. Rzucili się na niego i tak go okrutnie poczęli szarpać pazurami, że aż na milę słychać było jego głos, pełen strasznej boleści. Potem mu łeb urwały i czarną duszę zaniosły do piekła. Bo to nie były żadne ptaki, tylko djabły, które się umyślnie w kruki czarne poprzemieniały i dlatego miały tak wielką siłę.

O KOZIE ROGATEJ.

Jeden gospodarz poszedł na jarmark, kupił sobie kozę do chowu i tak pomyślał:

— Koza to najlepsze bydlątko: pod progiem się wyśpi, suchą miotłę zje i jeszcze da kwartę mleka.

Wrócił do domu, na drugi dzień woła chłopca, który u niego służył i powiada:

— Weź tę kozę i paś ją dobrze.

Ano chłopiec pasł kozę tak, że mało co nie pękła, a pod wieczór przypędził ją do domu. Gospodarz wyszedł i pyta kozy:

— Kozulu najadłaś się?

A koza odpowiada:

— Klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypiłam, szelma chłopiec z dziewczynami w taniec!

Gospodarz rozgniewał się, złapał chłopca, wyłomotał mu skórę i wrzucił pod ławę.

Drugiego dnia wysłał swoją dziewczynę, aby pasła kozę. Dziewczyna pasła i pasła. Koza tak si ęnażarła, że aż jej trawa pyskiem wyłaziła. Kiedy wieczorem przygnała ją do chałupy, chłop pyta znowu:

— Kozulu najadłaś się?

A koza odpowiada:

— Klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypiłam, szelma dziewczyna z chłopakami w taniec!

Gospodarz strasznie się rozgniewał i zbił swoją córkę.

Na trzeci dzień poszedł paść kozę parobek. Sta-

rał się on jak najlepiej można, prowadził kozę tam, gdzie najlepsza trawa, i wieczorem przypędził ją do domu.

Gospodarz zapytał jak zawsze:

— Kozulu najadłaś się?

A ona:

— Klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypiłam, szelma parobek z dziewuchami w taniec.

Wytłukł gospodarz parobka i na czwarty dzień posłał z kozą gospodynię. Koza tak się nażarła że ledwo do chałupy przyszła.

Kiedy chłop ją zobaczył, pyta:

— Kozulu najadłaś się?

Ona zaś swoje:

— Klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypiłam, szelma gospodyni z chłopakami w taniec.

Chłop zeklął swoją kobietę, sprał ją i rzucił na łóżko. Ale piątego dnia sam przebrał się za pasterza, wziął kozę i zaprowadził na świeżą łączkę. Kiedy koza dobrze sobie podjadła, przypędził ją do domu, zamknął w chlewie a sam przebrał się znowu po gospodarsku. Przyszedł do chlewu i pyta się:

— Kozulu najadłaś się?

A koza powiada:

— Me, klonowy listek zjadłam, szkopek wody wypiłam, szelma chłop z kobietami w taniec.

Dopiero rozgniewał się gospodarz na kozę:

— Ach ty szelmo jedna, toć ja wszystkim niewiadomo za co skórę zbębniłem. Dam ci teraz, dam!

Wziął ją , przywiązał na powrozie do żerdzi przy płocie i zaczął ją obdzierać żywcem ze skóry. Obdarł już kilka pasów i posolił, a wtem przyszedł na podwórze sąsiad. Pogadali trochę, a sąsiad pyta:

— Zażyjemy kumotrze tabaki?

Gospodarz wsadził nóż kozie w grzbiet i sięgnął po tabakę. Tymczasem koza zerwała się z powroza

i poleciała prosto do lasu. Leci przez las, leci, wreszcie zobaczyła lisią chałupkę. Były tam dzieci liszki. Koza pobiła je, kazała im iść do kąta, sama zaś zamknęła się i siedzi.

Po jakimś czasie przyszła liszka i woła:

— Dzieci otwórzcie!

A młode liszki wołają:

— Nie możemy otworzyć, bo tu wlazł taki zwierz, który nas bije i nie puszcza do drzwi.

— Kto tam jest? — zapytała liszka.

A koza zawołała:

— Ja koza rogata,
Do pół boku obdarta,
Mam w plecach knyp,
Kto do mnie przyjdzie,
To go zaraz ryp!

Poszła liszka na drogę i płacze, aż tu idzie zając.

— Czegóż ty lisiczko płaczesz?

— Jakże nie mam płakać, — odpowiedziała lisica — kiedy mi do chałupy wlazł jakiś zwierz, dzieci bije i nie chce drzwi otworzyć!

— Cicho,—mówi zając — nie płacz, chodź, ja tego zwierza wypędzę!

Przyszli do chałupki i zając pyta:

— Kto tam wlazł?

A koza woła:

— Ja koza rogata,
Do pół boku obdarta,
Mam w plecach knyp,
Kto do mnie przyjdzie,
To go zaraz ryp!

Zając przestraszył się i tak uciekał, że aż się zakurzyło. Nie lepiej powiodło się i silnemu wilkowi.

Wreszcie, kiedy zebrało się dużo zwierząt i wszyscy radzili nad tem, co zrobić, niedźwiedź powiadał tak:

— Ja wam tę kozę wypędzę, ale trzeba zawołać jeża i raka, bo tacy mali, byle ostrzy są zawsze najlepsi.

Zawołali jeża i raka, a niedzwiedź mówi:

— Ty wilku staniesz ze mną przy drzwiach. Zając pójdzie za góreczkę, on jest chybki, gdyby nam uciekła, to ją dogoni. Lisy oba pójdą na góreczkę, a rak i jeż wlezą do środka i będą wyganiać kozę.

Wszystkie zwierzęta zrobiły tak, jak im niedźwiedź rozkazał.

Jeż z rakiem weźli przez komin do chałupy.

Kiedy ich koza zobaczyła, tupnęła nóżkami, nastawiła rogi i krzyczy z całej siły:

— Ja koza rogata,
Do pół boku obdarta,
Mam w plecach knyp,
Kto do mnie przyjdzie,
To go zaraz ryp!

A jeż na to:

— Ja jestem jeż,
Ja kolę też!

I zaczął kłuć kozę.
Rak też woła:

— A jak rak
Kolę tak!

I łaps kozę szczypcami za nogę.

Koza bardzo się zlękła i jak skoczyła, tak odrazu wyprysnęła z nory. Niedzwiedż chwycił ją za zadnią

nogę i wyrwał goleń. A kiedy przeleciała koło lisów na trzech nogach, zając dogonił ją, wskoczył na kark i złapał za rogi. Z pomocą nadleciał wilk i zadusił kozę.

Potem powiesili ją na gałęzi i do reszty skórę obdarli. Liszka wdzięczna, że swoją chałupinę dostała z powrotem, wyprawiła wielki bal. Wilk przyniósł pieczeń, niedźwiedź miodu, jeż jabłka na kolcach, zając sałatę, inne zwierzęta jagody i owoce.

Ale najlepiej smakowała wszystkim koza rogata.

O DJABŁACH — TANECZNIKACH.

Ożenił się wdowiec z wdową — on miał swoją córkę, a ona swoją. I była ta kobieta bardzo dobrą matką, ale złą macochą. Swojemu dziecku nie kazała nic robić, same jej puchy podścielała, długo leżeć w łóżku pozwalała, na pięknych miskach najlepsze przysmaki pod nos podtykała i włosy w strusie piórka stroiła. A tamta nieboże na twardej ławie spać musiała, byleco zjadła i od świtu do późnej nocy pracowała. Zła macocha zaś nieraz jej skórę bez żadnej przyczyny wyłomotała. Najwięcej ją to gniewało, że pasierbica coraz była ładniejsza i wszyscy parobcy za nią wodzili oczyma, a na córkę nikt nawet nie spojrzał. Wciąż tylko nad tem medytowała, jakby się jej pozbyć, cały majątek dla swojej córki zagarnąć i tym sposobem przyciągnąć zalotników. Aż i wymedytowała.

Daleko od ich zagrody stała już za wsią, nad samą rzeką pusta chałupa, w której nikt nie mieszkał. Podobno się tam przed laty ktoś obwiesił i od tego czasu nawet najmarniejszemu żebrakowi nie stało odwagi szukać tam przytuliska, choćby w najgorszą zawieruchę. Mało wydeptana ścieżka z poza młyna prowadziła tam pomiędzy kolącemi ostami i pokrywami. Wiadomo było we wsi, że w tej chałupie straszy. Nieraz zdaleka ktoś widział, że się tam jakieś światła zapalą, to znowu zgasną, a nawet byli tacy, którzy

mówili, że coś tam o północy puka, burzy, szumi i jakby jakaś brzęczy muzyka. Widać djabli mieli w tem miejscu swoje osiedlenie.

Jednego wieczora zawołała macocha pasierbicę, kazała jej iść do pustej chaty, dała jej kądziel, motowidło i powiedziała, żeby jej tyle i tyle uprzędła. Myślała, że, jak jej tam zły głowę urwie, to się pozbędzie na zawsze dziewczyny.

Płakała bardzo biedna sierotka, ale nie śmiała sprzeciwić się macosze. W noc ciemną poszła do strasznego miejsca, a serce biło tak mocno, jakby chciało z piersi wyskoczyć. Okropnie szumiały drzewa i woda w rzece. Drzwi skrzypnęły przeraźliwie. Weszła i rozdygotanemi rękoma skrzesała światło — nie było nikogo. Zaraz zmówiła pacierz zabrała się do roboty i czekała, co będzie dalej. Dopiero około północy dał się słyszeć huk straszny, potem wicher zajęczał i znowuż rozległ się, jakby turkot zajeżdżającej karety. Dziewczyna przytuliła się do ściany i nie wiedziała co robic: uciekać czy zostać, ale uciekać się bała, żeby jej coś nie porwało. Naraz przez szparę w drzwiach wpadło do izby dwóch paniczów. Ubrani byli z niemiecka. Czarne mieli kaszkiety, kuse fraczki i kolroowe pluderki, a oczy im się paliły, jak dwa żarzące węgle. Zaraz jakaś muzyka zagrała djabelskiego młynca, a oni wzięli się za ręce, zaczęli tanczyc ze sobą i zaspiewali:

— Jedna portka czerwona,
Druga portka zielona,
Tańcujmy se szwagrowie!

A kiedy przetańczyli raz w koło, podeszli do niej i spiewają znowuż:

— Jedna portka zielona,
Druga portka czerwona,
Kosmyk dzieweczka
Pójdźże do taneczka!

A ona powiada:

— Ej, lepiejbyście nie kosmali, ale pomogli mnie! Jakże mam z wami tańcować, kiedy macocha tyle mi wyznaczyła roboty do rana.

Oni dawajże prząść z nią razem, aż uprządli wszystko.

— Teraz trzeba zmotać!

Wzięli, zmotali i znowuż swoje:

— Kosmyk dzieweczka
Pójdźże do taneczka!

— Tańczyłabym z wami, — odpowiedziała dziewczyna — ale nie mam w czem, bo mnie pani matka nijako z domu wyprawiła.

— A co ci trzeba?

— Nie widzisz, to boso będę z wami tańcowała? Przynieście mi buciki, czerwone buciki do tańca!

Polecieli i zaraz przywieźli, a ona ich znowuż posłała po pończochy, potem po haftowaną koszulę, potem po pięć spódnic, po każdą osobno, potem po zapaskę jedną i drugą, potem po paciorki na szyję, potem po rękawiczki, potem po jedwabne chusteczki, po wstążki do warkocza, po wachlarz, znowuż po zwierciadełko, żeby się przejrzała — po wszystko, co był potrzeba. Na ostatku kazała przynieść sobie pieniędzy, bo powiada:

— Cóż to darmo będę z wami tańcowała?

Zaraz polecieli i przywlekli cały kocioł złotych dukatów. Co tchu się uwijali, wszystko, co chciała przynosili i tylko ciągle powtarzali:

—Jedna portka zielona,
Jedna portka czerwona,
Kosmyk dzieweczka
Pójdźże do taneczka!

A ona wciąż coś nowego wynajdywała.

Wreszcie djabli mieli dość tej lataniny i mówią:

— Teraz już będzie koniec, teraz pójdziesz tańczyć?

I dalejże ją pod boki.

Ale dziewczyna zawołała:

— Przecież taka brudna nie będę tańcować, muszę się umyć, przynieście mi jeszcze wody!

Dała im dwa stare rzeszota i powiada:

— W tem będziecie nosić!

Jak zaczęli wodę nosić, dziewięćdziesiąt dziewięć razy obrócili, a jeszcze nie miała się w czem umyć. Co naczerpali, to im się wszystko wylało. Tak latali tak się spieszyli, a przecież tak im niesporo szło, że aż kogut zapiał. Skończyła się ich godzina, do piekła musieli wracać szwagrowie, a nie o tańcu myśleć. Zezłościli się na ostatku, cisnęli temi rzeszotami o ziemię i tak jej powiedzieli:

— Czekaj ty chytra pałko, tylko ty tu przyjdź jeszcze raz!

I obaj rozlali się w maź śmierdzącą.

Ona biedaczka nareszcie odetchnęła. Tyle się strachu najadła, tak się zmęczyła, że zaraz położyła się spać i zasnęła mocno, jak kamień.

Tymczasem nad ranem macocha bardzo zadowolona, że się jej pewno pozbyła, poszła do chałupy po swoją kądziel i po motowidło. Przyszła, spojrzała i zobaczyła, że ona taka wystrojona, jeszcze ładniejsza, niż wczoraj, tyle koło niej wszelkiego bogactwa, a jej nic złego się nie wydarzyło. Kiedy dziewczyna się obudziła, wzięła ją macocha na spytki i nie mogła

się nadziwić, kiedy dowiedziała się o wszystkiem. Bardzo była zazdrosna, że to nie jej córka takie piękne rzeczy dostała, więc, kiedy wróciła do domu, opowiedziała jej wszystko i tak mówi:

— Dziś wieczorem ty pójdziesz do pustej chałupy, to także będziesz wystrojona i bogata!

Ale nie dała jej tyle kądzieli, co tamtej, żeby się mniej napracowała.

Poszła córka w to samo miejsce i wszystko się podobnie stało. Przylecieli djabli w zielonych i czerwonych portkach, muzyka im zagrała, obrócili się raz w koło i nuże ją zapraszać:

— Kosmyk dzieweczka
Pójdźże do taneczka!

Ale ona głupia była, bo tak jej Pan Bóg dał, więc kazała im przynieść trzewiki, pończochy, koszulę, spódnice, paciorki, chusteczki, wstążki, wachlarz, zwierciadełko no i pieniądze — wszystko najeden raz.

Potem powiedziała:

— Przynieście mi wody do mycia!

Dała im skopki dziurawe, ale djabli dziury palcami pozatykali, prędko wody nanieśli i mówią:

— Ej, kosmyk dzieweczka, umyj się zaraz i ubierz, bo nie mamy czasu!

Ona umyła się, wystroiła, przejrzała się w zwierciadełku i dalejże z nimi tańcować.

Jakże ją pochwycili w djabelskie pazury, to z nią do siódmego potu wywijali. Raz, drugi, i trzeci dokoła. Powykręcali jej ręce i nogi, tak ją zmordowali, że zaczęła wołać:

— Dosyć, już dosyć, dajcie tchu złapać!

Ale djabli już jej nie puścili, coraz mocniej przyciskali, coraz bardziej hulali, wykręcali. A kiedy się już kończyła ich godzina, kiedy kur zapiał, wykręcił się jeden, urwał dziewczynie głowę i zatkał nią okno, a drugi kadłub do potoku wyrzucił. Wszystkie dary za-

brali, duszę porwali i z wielką uciechą lecieli do piekła, aż bory i lasy trzeszczały.

Skoro świt wstała macocha i poszła zobaczyć swoją córeczkę, która ma pewno dwa razy tyle strojów i pieniędzy, co tamta. Już zdaleka ujrzała w oknie jej głowę z wyszczerzonemi zębami.

— O moja córusiu kochana, — zawołała ucieszona — już na mnie wyglądasz okieneczkiem, paciorki masz na szyi i tak ładnie się śmiejesz!

— Ale ptaszek, który siedział koło chałupy na drzewie tak jej zaśpiewał:

— Głowinka w oknie,
A tułowiczek w potoku moknie!

Dopiero wtedy zrozumiała co się stało! Chciała pozbyć się pasierbicy, a tymczasem sama swoje dziecko na zatratę posłała.

I taki był koniec macoszynej zawiści.

CZŁOWIEK Z ŻELAZA.

Żył raz stary żołnierz nazwiskiem La Ramée, który był zawsze pijany i od rana do wieczora żuł w gębie tytoń. Jednego dnia dowódca pułku począł mu robić z tego powodu wymówki, wtedy La Ramée dobył szabli, i ciął go przez twarz i zabił. W chwilę potem zjawił się kapitan z kapralem, aby go na odwach zaprowadzić.

Następnego dnia — powiedzieli mu — staniesz przed sądem wojennym.

— Kapralu, — rzekł La Ramée — w mojej izdebce na stole zostawiłem plecak. A to nie zdarza mi się przecież często, wy wiecie dobrze o tem, że utrzymuję zawsze należyty porządek. Czy pozwolisz mi pójść tam i przynieść co potrzeba?

— Idź, jeżeli tak chcesz... — odpowiedział kapral.

La Ramée wziął plecak wyładowany chlebem, wyrzucił go na ulicę, potem sam wyskoczył przez okno, podniósł go i uciekł czemprędzej. Dla pewności wyniósł się do Anglji.

Jednego wieczoru, kiedy się przez las przedzierał, zobaczył nawpół rozwalony budynek. Ponieważ prawie z głodu umierał, wszedł do środka i zobaczył starą babę, która właśnie konopie wytrzepywała. La Ramée poprosił ją o kęs strawy i nocleg. Stara przyniosła mu miskę kartofli i pokazała w kącie kupę badyli konopianych, na których można było od biedy się przespać. Kiedy następnego ranka chciał La Ra-

mée rozpocząć dalszą wędrówkę, stara tak przemówiła do niego:

— Wiem o czemś, co może przynieść szczęście i mnie i tobie. Niedaleko stąd znajduje się zamek, a drogę do niego pokażę ci. Idź tam i wejdź śmiało do środka. W pierwszym pokoju leży na stole złoto i srebro, w drugim lwy się znajdują, w trzecim węże, w czwartym smoki, w piątym niedźwiedzie, a w szóstym lamparty. Musisz szybko i bez strachu przejść przez wszystkie pokoje. W siódmym pokoju zobaczysz człowieka z żelaza, który siedzi na bronzowem kowadle, a za tym człowiekiem z żelaza stać będzie płonąca świeca. Chwyć ją szybko, zgaś i wsuń do kieszeni. Potem będziesz musiał przejść przez podwórze, na którem stoją straże; żołnierze będą ci się przyglądać, ale tobie nie wolno ani razu się obejrzeć, przez cały czas musisz wzrok ku ziemi skierować. Staraj się, abyś zrobił wszystko tak, jak ci powiedziałam, bo inaczej mogłoby cię spotkać nieszczęście.

La Ramée udał się w drogę, którą mu wskazała stara i zaraz przyszedł do zamku. W pierwszym pokoju zobaczył na stole kupy złota i srebra, w drugim leżały lwy, w trzecim węże, w czwartym smoki w piątym niedźwiedzie, w szóstym lamparty, a wreszcie w siódmym znalazł człowieka z żelaza, który siedział na bronzowem kowadle, a za tym człowiekiem z żelaza płonęła świeca. La Ramée szedł prosto i bez lęku, schwycił świecę, zgasił ją i wsunął do kieszeni. Potem ze wzrokiem spuszczonym przeszedł przez wielkie podwórze, na którem czuwały rozstawione straże. Kiedy już był daleko od zamku przyszło mu na myśl, aby zapalić świecę. Natychmiast zjawił się przed nim człowiek z żelaza, który był niewolnikiem owej świecy i zapytał:

— Czego sobie życzysz, mistrzu?

— Daj mi pieniędzy — odparł La Ramée — ta

ciągła nędza od dawna mi się już sprzykrzyła, chciałbym nareszcie łyknąć trochę szczęścia.

Człowiek z żelaza napełnił jego plecak złotem i zniknął.

Wtedy La Ramée ruszył w drogę do rezydencji królewskiej. Ale nagle ukazała się na drodze stara czarownica i zażądała od niego świecy. Z początku mówił jej, że świecę zgubił, a potem wetknął jej zwyczajną, ladajaką świeczkę.

— Takiej nie chcę — odpowiedziała — daj mi prędko tę, po którą cię posłałam.

Kiedy La Ramée zrozumiał, że stara zaczyna mu grozić, rzucił się na nią i zabił jednem uderzeniem szabli.

Przybywszy do stolicy, zakwaterował się w książęcej gospodzie, gdzie trzeba było płacić pięćdziesiąt franków dziennie. A skoro niczego sobie nie żałował, wkrótce wypróżniał się plecak i La Ramée nie zapłacił rachuku już za kilka dni. Właścicielka gospody ciągle mu dokuczała i nieustannie żądała pieniędzy. La Ramée był bardzo zakłopotany. Po raz ostatni zajrzał do plecka i nie znalazł tam ani jednego grosika, ale kiedy wsadził rękę do kieszeni w nadziei, że może tam zabłąkało się trochę złota, wyciągnął świecę.

— Ach, co za osioł ze mnie! — zawołał — jażeż mogłem zapomnieć o mojej świecy.

Szybko zapalił ją i natychmiast zjawił się przed nim człowiek z żelaza.

— Czego sobie życzysz, mistrzu?

— Co? — krzyknął La Ramee — ty kapuściana głowo, ty łotrze, dlaczego pozwalasz mi tu tkwić bez jednego grosza?

— Mistrzu nic o tem nie wiedziałem, mogę zaś być powiadomiony o wszystkiem tylko zapomocą świecy.

— No już dobrze, daj mi pieniędzy.

Człowiek z żelaza nasypał mu jeszcze więcej złota niż pierwszego razu. Kiedy La Ramee zajęty był liczeniem talarów i układaniem ich na stole zajrzała doń pokojówka przez dziurkę od klucza i czemprędzej pobiegła do swojej pani, aby jej powiedzieć, że to jest bardzo bogaty człowiek i nie należy z nim postępować tak, jak z pierwszym lepszym włóczęgą. Przeto przy obrachunku właścicielka gospody była dlań niesłychanie uprzejma.

Po dwóch czy trzech dniach La Ramée zapalił znowu świecę i człowiek z żelaza zjawił się.

— Czego sobie życzysz mistrzu?

— Życzę sobie, aby królewna, córka króla angielskiego znalazła się dziś w nocy w moim pokoju.

I stało się tak, jak chciał La Ramée: tej nocy w pokoju jego znajdowała się królewna angielska. La Ramée mówił jej o zamążpójściu, ale go nawet słuchać nie chciała. Całą noc musiała przesiedzieć w kąciku, a rano rozkazał La Ramée człowiekowi z żelaza, aby ją z powrotem zawiódł na królewski zamek. Każdego ranka królewna zwykła była składać pocałunek na twarzy swojego ojca. Bardzo zdziwił się król, kiedy tego ranka to się nie stało. Wybiła godzina siódma, potem ósma, a jej nie było. Wreszcie nadeszła.

— Ach! — zawołała — mój ojcze, jakże smutną noc spędziłam!

I opowiedziała wszystko królowi. A on tak bardzo się obawiał, aby jego córce nie wydarzyło się znowu coś podobnego, że postanowił poradzić się jednej z wróżek.

— Mamy do czynienia z kimś, co jest silniejszy ode mnie, — rzekła wróżka — przeto znam tylko jeden środek: dajcie księżniczce worek z otrębami i przykażcie jej, aby rozsypała je w tym domu, w któ-

rym się niespodziewanie znajdzie. W ten sposób będzie można go poznać.

Tymczasem La Ramée zmienił gospodę. Pewnego dnia zapalił świecę i rzekł do człowieka z żelaza:

— Życzę sobie, aby dziś w nocy przyszło do mojego pokoju królewna angielska.

— Mistrzu, — odpowiedział człowiek z żelaza — jesteśmy zdradzeni, ale ja spełnię twoje życzenie.

I kiedy wypełnił rozkaz, zebrał wszystkie otręby od wszystkich piekarzy i rozsypał je we wszystkich domach w ten sposób, że nie można było w żaden sposób odgadnąć, gdzie księżniczka noc spędziła.

Wtedy wróżka poradziła królowi, aby jego córka wzięła ze sobą pęcherz krwią wypełniony i otworzyła go w tym domu, do którego zostanie przeniesiona. La Ramée kazał znowu przywieźć sobie królewnę.

— Mistrzu, — rzekł człowiek z żelaza — jesteśmy zdradzeni, ale ja spełnię twoje życzenie.

Wtargnął do stajni królewskich, zabił wszystkie rumaki bojowe i wszystkie woły, a krew ich dokoła porozlewał.

Na drugi dzień wszystkie ulice i wszystkie domy pławiły się we krwi, tak, że król nic nie mógł odkryć.

Udał się znowu do wróżki po radę.

— Musicie otoczyć królewnę strażami.

Kiedy nadszedł wieczór La Ramée zapalił swoją świecę.

— Mistrzu, — rzekł człowiek z żelaza — jesteśmy zdradzeni. Królewna jest otoczona strażami i na to ja już nic poradzić nie mogę.

La Ramée postanowił pójść sam. Wówczas straże schwytały go, związały i wrzuciły do mrocznego, wilgotnego więzienia.

Leżąc przy zakratowanem oknie płakał i skarżył się na los okrutny. Wtem zobaczył na ulicy starego,

fracuskiego żołnierza, który niegdyś służył z nim razem. Zawołał na niego.

— Ejże, — rzekł żołnierz — czyżby to był La Ramée?

— Tak to ja jestem. Możesz mi wyświadczyć wielką przysługę, jeśli przyniesiesz z gospody moje krzesiwo, mój tytoń i moją świecę — wszystko to znajdziesz pod poduszką.

Stary żołnierz wyprosił na to pozwolenie u pełniącego służbę sierżanta i zjawił się w gospodzie jako posłaniec La Ramée'go.

— Ten głupiec was przysyła, — rzekł gospodarz — zabierzcie jego łachy, do licha z niemi!

Kiedy La Ramée miał już wszystko, o co prosił, skrzesał ognia i zapalił świece. Natychmiast zjawił się człowiek z żelaza, a więzy opadły ze starego żołnierza

— Nędzniku, — krzyczał La Ramée — pozwoliłeś, żeby mnie wsadzili do więzienia?

— Mistrzu — odpowiedział człowiek żelazny — nic nie wiedziałem, dowiaduję się o wszystkiem tylko przez świecę.

— No dobrze już, teraz rozkazuję ci wydobyć mnie z matni.

Człowiek żelazny wyprowadził go z więzienia i dał mu złota, srebra, ile tylko chciał. Potem La Ramée rozkazał zanieść się na wysoką górę koło stolicy położoną i kazał, aby tam wjechała baterja z dwustu armat, potem posłał go do króla angielskiego i wypowiedział wojnę królowi, który wysłał przeciwko niemu stu żołnierzy. Wojsko La Ramée'go składało się z pięciu żelaznych ludzi, lecz walka nie trwała długo; wszyscy ludzie króla zostali zabici oprócz jednego tylko dobosza, który zaniósł królowi smutną wieść. Wówczas La Ramée wezwał króla, aby mu się poddał, ale on odpowiedział, że go się wcale nie boi

i wysłał znowu czterysta żołnierzy. Ale i ci zostali zabici.

Tymczasem La Ramée zobaczył ślepca, którego żona prowadziła pod rękę. Ten ślepiec miał jakieś napozór liche skrzypki, z których wydobywały się żałosne tony.

— Dobry człowieku — rzekł La Ramée do niego — masz piękne skrzypce!

— Nie śmiej się z nich — odpowiedział ślepy — bo one mają moc nad żywymi i umarłymi.

— Sprzedaj mi je!

— To niemożliwe, niemi bowiem na chleb zarabiam.

— A gdybym ci dał za nie dziesięć tysięcy franków, czy zgodziłbyś się mi je oddać?

— Bardzo chętnie.

La Ramée wyliczył dziesięć tysięcy franków i zabrał skrzypce. Potem wysłał do króla parlamentarza z żądaniem, aby mu dano za żonę córkę królewską, w przeciwnym razie wojna rozpocznie się na nowo.

— Żołnierzami mojego pana — rzekł parlamentarz — są mężowie, co mają dziesięć stóp wysokości, a miecze ich ośmiu stóp sięgają.

Wówczas król oświadczył, że pragnie sam z La Raméem się rozmówić. W istocie zjawił się wkrótce wraz z córką.

— Daję wam dwie godziny czasu do namysłu, — rzekł La Ramee — jeśli nie zgodzicie się na moje warunki, zacznę bombardować miasto i zamek.

Król zamyślił się przez chwilę.

— Byłbym skłonny zawrzeć pokój, — rzekł wreszcie — ale za dużo zginęło dzielnych ludzi.

— Łaskawy panie, — odparł La Ramée — nic łatwiejszego, jak ich znowu do życia obudzić.

Chwycił za skrzypce i po pierwszem pociągnięciu smyczkiem, żołnierze, którzy leżeli na ziemi, zaczęli się poruszać. Jedni szukali ramion, drudzy nóg, a inni znowu głów swoich. Król patrząc na to wyraził swoje zadowolenie i zezwolił na małżeństwo. A kiedy się starzec zaczął, zrezygnował z tronu. Na jego miejsce La Ramée został królem angielskim. Wtedy król francuski musiał mu darować dezercję i wszystkie inne przestępstwa.

O DZIEWCZYNIE, CO ROBIĆ NIE CHCIAŁA.

Miała matka córkę Kasię. Ładna była i zdrowa, ale straszne próżniaczysko. Do dwudziestu lat siedziała na piecu i nic robić nie chciała, tylko albo spała albo jadła. Nie umyła się nigdy, nie uczesała, łeb zawsze miała rozkudłany, rozczochrany, więc ją wszyscy leniwą Kudłą nazywali. Matka musiała całe gospodarstwo sama obrządzać, bo gdyby na Kudłę czekała, toby garnki były zawsze okopciałe i brudne, izba niezamieciona, krowa niewydojona. Nieraz ją do roboty naganiała i tak jej mówiła:

— Ej, Kudła naucz ty się robić, bo ciebie żaden wojewodzic nie pojmie za żonę, tylko kmiecy syn na roli. Każe ci się dobrze nauwijać i nie będzie chciał słuchać, jak ty mu powiesz, że cię rączki bolą.

Ale Kudła nic nie odpowiadała, tylko przewracała się na drugi bok i spała dalej.

Wszystkie dziewuchy w równych z nią latach dawno już zamąż powychodziły, ale na Kudłę nikt spojrzeć nie chciał, bo cóż komu po takiej kobiecie, która ani wyprać, ani ugotować nie umie. Tymczasem jej się uwidział bardzo młody leśny, który mieszkał niedaleko od ich chałupy i czasem do matki Kudły zachodził.

Jednej nocy wstała po cichu, ubrała się w prześcieradło, zrobiła się podobna do śmierci, poszła tam, gdzie mieszkał leśny, stanęła koło okna i woła na niego:

— Śpisz ty?
— Nie.
— Kazał Pan Jezus i święta Anna, żebyś se pojął Kudłę za żonę. Ażebyś pojął, ażebyś pojął!
I zaraz się straciła.
Chłop do rana nie mógł zmrużyć oka ze strachu. O świcie wstał i poszedł do mieszkania Kudły, a tu ona leży na piecu umyta, liczko ma gładkie, nic nie mówi, tylko patrzy na niego, jakby go chciała przewiercić oczyma. Spodobała mu się jakoś, ale nic nie powiedział tylko poszedł dalej.
Na drugą noc o tej samej godzinie pokazała się biała, wysoka kobieta i woła:
— Śpisz ty? 9
— Nie.
— Kazał pan Jezus i święta Anna, żeybś se pojął Kudłę za żonę. Ażebyś pojął, ażebyś pojął, bo inaczej, to ci łeb urwę!
Leśny się jeszcze więcej przestraszył i pomyślał sobie, że chyba trzeba ożenić się z tym wałkoniem, co cały dzień na piecu leży. Poszedł do ich chałupy na śródwieczerz, aż tu widzi Kudłę na piecu jeszcze lepiej umytą i pięknie wyczesaną. Podobała mu się jszcze bardziej ale, że tam zeszło się gości huk, nie miał sposobności z nią gadać i poszedł dalej.
Na trzecią noc znów biała kobieta kołacze do okna i mówi:
— Śpisz ty?
— Nie.
— Kazał Pan Jezus i święta Anna, żebyś se pojął Kudłę za żonę. Ażebyś pojął, ażebyś pojął, bo ostatni raz mówię, inaczej łeb ci urwę!
Chłop zerwał się z pościeli, wyleciał przed chałupę, ale tu już nikogusieńko nie było.
Tak się zestraszył, że z samego rana poleciał do sąsiadów i cóżwidzi: w progu spotyka Kudłę pięknie

ubraną. Ledwo ją poznał tak wyładniała. Już się więcej nie namyślał, tylko uderzył do matki o córkę. Matczysko się z chęcią zgodziło, prosiła tylko, żeby nigdy Kudły nie bił. Leśny przyrzekł i tak najpierw były zwiady a potem wesele.

Zaczęło się gospodarstwo we dwoje. A musiał on chodzić z samego rana do lasu i dopiero potem wracał na śniadanie. Kiedy pierwszego dnia wstał, żona jeszcze spała, a tu dwie krowy ryczały w oborze, bo nie miały nic do żarcia. Leśny obrządził bydło i poszedł do swojej roboty, a skoro wrócił, nie było ani śniadania, ani porządku w chałupie. Patrzy, a Kudła znowu się rozkudłała, wlazła na piec i śpi.

Z początku nic nie mówił, tylko biedował, jak mógł. Sam sobie garnki mył, sam prał, sam gotował, aż mu się to przykrzyło. Wystarał się więc o służbę w innem miejscu, z pięć mil od tej wsi i wziął Kudłę ze sobą. Ona zaś i na nowem miejscu po staremu nic nie robiła, tylko wylegiwała się na piecu. Ale leśny wziął się na sposób.

Miał on starą torbę strzelecką, która wisiała nad łóżkiem. Jednego dnia, kiedy szedł do lasu, zaczął do tej torby gadać, że ma ugotować śniadanie, potem posprzątać i zrobić wszystko, co potrzeba.

— Bo inaczej, — powiada — jak z lasu wrócę, to cie okropnie skatuję!

Kudła słucha, nic nie mówi i tylko ciągle z pod oka zerka, rychło torba zejdzie z kołka i weźmie się do roboty. Ale torba, jak wisiała, tak wisi, a Kudła śmieje się i mówi do niej:

— Czekajno, będziesz ty się miała, jak on wróci z lasu.

Leśny wrócił do domu i widzi, że torba nic nie zrobiła, więc zaczyna jej wygrażać:

— Popamietasz ty teraz sobie zaraz my sąd zrobimy. Tu dębowy świadek będzie!

I mówi do Kudły:

— Weźno torbę i potrzymaj na swoich plecach, a ja ją dobrze wyłomocę, to ona na drugi raz mnie usłucha.

Kudła się śmieje i myśli, co z tego będzie? Tymczasem leśny przyniósł tęgą pałę i nuże bić torbę na kudlinych plecach. Kudła w gwałt, a leśny bije i bije. Zbił, ale nie Kudłę, tylko torbę.

Na drugi dzień idzie znowu do lasu i znowu mówi do torby:

— Żebyś mi ugotowała, żebyś wszystko w chałupie obrobiła, bo inaczej tobym znowu ci nasypał!

Ledwo tylko wyszedł z chałupy, Kudła wyskoczyła z wyrka i dalejże do roboty. Kiedy leśny przyszedł do domu, zobaczył, że wszystko jest w porządku, więc pyta:

— Dziś chyba nie będziemy uczyć torby rozumu?

A Kudła odpowiada:

— O, dziś nie trzeba!

— Tak rób, —mówi leśny znowu do torby — to nigdy nie dostaniesz lania

I tak dalej szło. Kudła codziennie rano wstawała, a kiedy leśny przychodził do domu wszystko było cporządzone, jak się należy O torbie nawet zapomnieli i o tem także, że na gospodynię kiedyś leniwa Kudła wołali. Kasia, Kasieńka — było teraz jej imię.

Po długim czasie matka chciała zobaczyć jak, jej córka żyje, więc pojechała do niej w gościnę.

Jakże się zadziwiła, kiedy zobaczyła u niej takie porządki w izbie i w oborze. Aż się jej serce zaśmiało, że z leniwej Kudły zrobiła się taka dobra gospodyni. I pyta jej:

— Jakże to być może, że u ciebie tak czysto, chędogo, żeś tak pracowita, kiedy w domu nic robić

nie chciałaś? On cię pewno bił bardzo, nim cię pracy nauczył?

— Ach nie, — odpowiedziała córka — tylko raz wybiliśmy torbę, ale potem już nie było trzeba.

Matka cieszyła się bardzo, a Kasia jakoś na nią patrzy dziwnie raz i drugi, trochę zakłopotana, trochę zmieszana — nareszcie powiada:

— Wiecie matusiu co, idźcie na podwórze i przynieście choć kilka drewek, bo w tym domu darmo jeść nie dają...

ZŁA PANI.

Gdzie teraz wśród pięknie strzyżonych trawników i drzew wyniosłych wznosi się wspaniały pałac panów na Eriksbergu, znajdowały się przed laty dobra Pintorp. Z tą nazwą właśnie łączy podanie niesamowitą opowieść o pani tych włości.

Na Pintorpie — tak mówi podanie — mieszkał pewien szlachcic, który umarł młodo i wszystko, co tylko posiadał swojej żonie zapisał. Mimo wielkich dostatków nie była ona jednak dobrą panią dla swoich poddanych. Wyzyskiwała ich wszelkiemi sposobami i poniewierała nimi straszliwie. Pod swoim zamkiem posiadała głębokie piwnice, a w nich podziemne więzienia, w których niejeden niewinny człowiek nędznie zginął. Dzieci i żebraków szczuła złemi psami, a jeśli ktoś nie stawił się na czas do roboty, to napewno wracał wieczorem z plecami pokrwawionemi od razów bata.

Pewnego ranka, kiedy ludzie schodzili się do roboty, pani na Printorpie stała na schodach zamkowych i zobaczyła, że jeden z chłopów przyszedł za późno. Pieniąc się ze wściekłości obrzuciła go gradem najokropniejszych przekleństw i rozkazała, ażeby ściął największy dąb, jaki się w jej dobrach znajduje i aby wieczorem przyciągnął go na podwórzec zamkowy wierzchołkiem naprzód ze wszystkiemi gałęziami. Jeśli zaś tego rozkazu nie zdoła dokładnie wy-

pełnić, wtedy bez łaski żadnej i litości wypędzi go z chałupy i wszystko, co posiada, sama zagarnie.

Chłop uginając się pod brzemieniem twardego wyroku poszedł do lasu i tu spotkał jakiegoś starego człowieka, który go zapytał, dlaczego ma tak niewesołą minę.

— Bo już po mnie jest, jeżeli mi Pan Bóg nie pomoże — westchnął nieszczęśliwy i opowiedział jaką to niemożliwą robotę zadała mu jego pani.

— Nie martw się, — rzekł nieznajomy — zetnij ten dąb i siedź sobie na jego pniu, a już znajdą się tacy co go do zamku zaciągną.

Chłop zrobił tak, jak mu stary kazał, zaczął rąbać siekierą i rzeczywiście po trzeciem uderzeniu drzewo runęło na ziemię z potężnym łoskotem. Potem usiadł na pniu z twarzą ku koronie drzewa zwróconą i zaraz poczęło się ono ruszać, jakgdyby konie je ciągnęły. Jazda stała się tak szybka, że po drodze pale i płoty niby wióry pryskały. Właśnie kiedy wierzchołek drzewa uderzył o portal zamkowy, potknął się jeden z niewidocznych nosicieli i rozległ się głos:

— Cóż to kumie, padasz na kolana?

Pani na Printorpie, stojąc na schodach, zauważyła dobrze kto chłopu pomaga, ale zamiast skruchę okazać, poczęła kląć, łajać i grozić biedakowi więzieniem.

Wówczas zatrzęsła się ziemia, cały zamek zadrżał w posadach i oto ukazał się na drodze czarny powóz, zaprzężony w cztery czarne konie. Zatrzymał się przed zamkiem. Jakiś elegancki, czarno ubrany pan wyskoczył z niego, skłonił się pani i kazał, aby przygotowała się do drogi i szła za nim. Drżąc ze strachu — wiedziała bowiem kto jest nieznajomy —

poczęła prosić o trzy lata zwłoki, ale czarny pan nie chciał się na to zgodzić. Wtedy prosiła o trzy miesiące, ale i tego odmówił, wreszcie prosiła o trzy dni a potem o trzy godziny, ale on darował jej tylko trzy minuty, aby mogła wydać ostatnie zarządzenia.

Kiedy poznała, że nic jej już uratuje, prosiła, aby mogła przynajmniej wziąć ze sobą swojego kapelana, swoją pokojówkę i swojego kamerdynera. Na to zgodził się czarny pan i wszyscy wsiedli do powozu. Natychmiast konie ruszyły z kopyta i pędziły tak szybko, że ludzie, którzy stali koło zamku nie zobaczyli już nic więcej, jak tylko czarny punkcik na horyzoncie.

Po chwili jazdy przybyli do wspaniałego zamku, a czarny pan zaprowadził ich po schodach na górę do wielkiej sali. Tutaj zdjął z pani szaty wspaniałe i włożył jej grubą suknię i drewniane buty. Potem trzy razy uczesał jej włosy, tak, że po głowie krew spływała strumieniami. Wreszcie trzy razy z nią zatańczył, tak, że jej buty krwią się napełniły.

Po pierwszym tańcu powiedziała pani, że pragnie dać kamerdynerowi swój złoty pierścień, ale ten pierścień palił, jak ogień. Po drugim tańcu dała pokojówce pęk kluczy, ale ten pęk kluczy parzył ręce dziewczyny, jak rozżarzone żelazo. Lecz po trzecim tańcu otworzyły się w podłodze drzwi ukryte, a pani zniknęła w nich wśród chmury dymu i ognia.

Ksiądz, który stał najbliżej, zajrzał ciekawie w otwór; wtedy wyleciała stamtąd iskra i ugodziła go w oko, tak, że już na całe życie oślepło.

Potem pozwolił czarny pan odjechać służbie do domu, ale zabronił im stanowczo oglądania się za siebie. Szybko wsiedli do powozu, droga była szeroka i równa, a konie pędziły prędko. Ale kiedy już ujechali nieco, pokojówka nie mogła poskromić cie-

kawości i obejrzała się. W tej samej chwili znikł powóz, a nawet i droga znikła.

Kapelan, kamerdyner i pokojówka znaleźli się w nieprzebytym lesie i trzy lata upłynęły, zanim zdołali wrócić do domu.

KRÓL EOCHAIDH Z KOŃSKIEMI USZAMI.

Przed laty sprawował rządy w kraju Ui Failghe sławny król. Zwał się on Eochaidh, a król ten napiętnowany był haniebną szkaradą, mianowicie miał końskie uszy. Aby je ukryć nosił zawsze złotą koronę na głowie. Kiedy chciał obciąć sobie włosy, szukał miejsc ustronnych, samotnych i dopiero w zupełnem ukryciu kazał się strzyc. Ale żaden z cyrulików nie wracał już nigdy z powrotem. Ponosił śmierć na miejscu. Taka była nagroda za jego pracę.

I oto miał król na swoim dworze siostrzeńca, który zwał się Aonghus. Nie nazywano go tak jednak tylko Mac Dichaoimhe (to znaczy: syn brzydkiej kobiety) . Jego matka nazywała się mianowicie Dichaoimh i stąd pochodziło przezwisko syna. Była to kobieta bardzo dobra, chociaż brakowało jej urody. On zaś był dorodnym, odważnym i mądrym młodzieńcem. Do powinności jego należało strzyżenie rycerzy i zdobienie ich koni. Oprócz tego kuł i ostrzył oszczepy i sztylety, oraz ich głownie, a także ostre i szerokie włócznie. Umiał także zabawiać wszystkich grą na piszczałce i harfie, śpiewał pieśni, mówił wiersze miłosne i złośliwe zwrotki. Był przytem chybki, zręczny i rączy zarówno w pływaniu, jak i w łowiectwie, a ćwiczeniach orężnych zdobył także wielką sławę. Nic więc dziwnego, że zarówno mężowie jak i kobiety kochały go i nie szczędziły pieszczot. Nawet królowa, żona Eochaidha, nie pogardzała jego opowia-

daniami, a nawet chętnieby z nim noc przespała, gdyby mogło to być równie gorącem życzeniem małżonka, jak i jej samej. Często tedy łączono imię królowej z nazwiskiem szlachetnego syna Dichaoimhy. Nie było nikogo, ktoby o tem nie słyszał. Złe usta szepnęły o tem wreszcie królowi. Eochaidh począł z zazdrością pątrzeć na swojego bratanka i postanowił go zabić.

Jednak wydało mu się rzeczą haniebną zabijać z zazdrości. Wysłał tedy do niego gońca i wezwał, aby towarzyszył mu w drodze do dzikiej i oddalonej okolicy. A uczynił to dla dwóch względów. Chciał, aby mu obcięto włosy (bo czas odpowiedni już się zbliżał), a pozatem chciał wywrzeć na nim swój gniew, nasycić zazdrość i zaspokoić żądzę zemsty. Ale rycerze uważali to za wielką stratę dla siebie. Wszyscy bowiem byli pewni, że piękny syn Dichaoimhy po ostrzyżeniu króla, nie powróci już. Przecież dotychczas nikt nie wrócił.

Młodzieniec towarzyszył królowi do dzikiego ustronia i znaleźli tam pusty dom. 9

— Skoro jesteśmy sami — przemówił król — najlepiej będzie, jeśli zabierzesz się natychmiast do moich włosów.

— Zaraz to uczynię — rzekł młodzieniec i obciął mu włosy.

— Czy po ostrzyżeniu głowa moja jest znowu piękna i okazała? — zapytał król.

— Tak jest istotnie i oby coraz lepiej było!

Wtedy król wyciągnął rękę po miecz, aby zabić młodzieńca.

— Ja sam go dobędę, — zawołał młodzieniec — i zdejmę ci łeb z karku, ty morderco własnej rodziny, abyś już nikogo więcej nie mógł zabić. Pożegnaj się już teraz z żoną i z dziećmi, nie zobaczysz już nigdy swojego kraju ani swojego królestwa, ty koniu z wiel-

kiemi uszami i łbem paskudnym. A zastępy wojowników i tłumy ludu będą oglądać twoją głowę, skoro ją mieczem odrąbię.

To mówiąc wyciągnął młodzieniec miecz z pochwy i począł go obracać nad głową, aby spuścić ze świstem przeraźliwym na króla i zabić.

— Niech cię ręka Boska powstrzyma! — zawołał Eochaidh. — Niech zgoda zapanuje pomiędzy nami, młodzieńcze. Będziesz równy mnie i będziesz mnie strzyc tak długo, jak długo potrafisz zachować tajemnicę.

—Zgadzam się na to, — rzekł młodzieniec — a z tego wydarzenia niechaj przjaźń nastanie pomiędzy nami.

I tak wrócili do domu, a rycerze z hufców przybocznych cieszyli się bardzo.

Tymczasem okazało się, że zachowanie tajemnicy stało się dla młodzieńca ciężką niedolą. Żarła go choroba długa i męcząca. Trapiły go dreszcze, wyrzuty do trądu podobne i osłabienie zupełne. Zdawało się, że wszystkie siły postradał i szpik wysechł w jego kościach.

Jednego dnia postanowił odwiedzić niejakiego wróża i uzdrowiciela w Geashill, aby szukać u niego pomocy i lekarstw skutecznych. Kiedy przybył na trzęsawisko, które zwie się Moin Caoimthechta, upadł nagle tak mocno na twarz, że mu trzy strumienie krwi z nosa i z ust trysnęły. I to go właśnie uleczyło.

Innego dnia, już pod koniec roku, syn Dichaoimhy przybył z hufcem rycerzy na to samo miejsce, gdzie upadł i wyrzygał swoją tajemnicę. I rzekł on do towarzyszy:

— Patrzcie, tutaj zostałem wyleczony i tu trysnęły ze mnie trzy strumienie krwi.

A potem zaśpiewał następujące strofy:

„Tu zdrowie odzyskał
Syn Dychaoimhy,
Skoro pozbył się tajemnicy (w strumieniach gwałtownych),
Tajemnicy strasznego i okrutego Eochaidha,

A stało się to, kiedy poszedłem szukać lekarstwa,
Potem, kiedy przez rok trawiłem w sobie tajemnicę,
Która pogrążyła mnie w ciężką chorobę,
Nędzną słabość i żałosne biadania.

Strumienie krwi, (które mi ulgę przyniosły)
Popłynęły z ust moich i nosa.
Bóg zaś sprawił, aby z nich drzewa wyrosły,
Które tu każdy może oglądać."

I zobaczył hufiec trzy młode, strzelające w górę wiciny. On zaś przepuścił maszerujących i został, aby ogrodzić drzewa okólnym płotem. A kiedy to uczynił, podążył znowu za zbrojnym zastępem.

Tymczasem z kraju Munster podążał do Eochaidha pewien sztukmistrz. Był to sławny harfiarz, którego specjalnością były satyryczne piosenki. Przypadkiem idąc drogą, przyszedł do tego miejsca, gdzie rosły ogrodzone, młode drzewka. Począł się im przyglądać wraz z towarzyszami, a wówczas przemówiło jedno drzewko do drugiego:

— Eochaidh, mąż z tarczą, ma końskie uszy!

I powiedziały to sobie trzykrotnie.

— Oto piękna piosenka dla naszej harfy! — zauważył harfiarz.

I po chwili wypowiedział następujące wiersze:

„Rozmowa młodych drzewek
Szept ich nieustanny, który nas wcale nie znużył,
Uderzył o struny mojej harfy i nastawił je pieśnią,
Pieśnią piękną i rozgłośną, która tak brzmiała:

Eochaidh, mąż z twarzą obronną,
Ten właśnie nosi na swej głowie dwoje końskich uszu!
Taka była rozmowa bujnych, młodych drzewek,
Taka była treść ich szelestów i poszeptów."

Poczem ruszyli ku dworowi królewskiemu, gdzie zostali godnie przyjęci i zaprowadzeni do sali, w której znajdował się Eochaidh.

— Niechaj harfa wasza zawtóruje jakiejś dorzecznej pieśni! — rozkazał Eochaidh.

— Chętnie to uczynimy! — zawołali i poczęli mu przygrywać.

A to co grali brzmiało właśnie:

— Eochaidh, mąż z tarczą, ma dwoje końskich uszu!

— Światła i pochodni! — począł krzyczeć król.

A kiedy zapłonęły w sali świeczniki i pochodnie, rzekł:

— Rzućcie się na harfiarzy i zwiążcie ich!

Skrępowano ich według rozkazu i pozostawiono we więzach aż do rana.

A rano zjawił się król z zastępem wojowników.

— Lepiejby było nie zabijać nas, — rzekli harfiarze —zanim nie przekonasz się o naszej winie.

— Wyznajcie tedy — rzekł król — kto był tym kto was tej pieśni nauczył?

A oni odpowiedzieli:

— Drzewka, które wyrosły z wymiotów syna Dichaoimhy. One śpiewały tę pieśń.

— Zaiste — rzekł król — trudno ludziom zachować tajemnicę, skoro nawet drzewa ją wygadały. Wypuścić harfiarzy!

Poczem zdjął swój hełm z głowy i rzekł:

— Tak oto wyglądam, o mężowie z Ui Failghe!

I po chwili wypowiedział następujące wiersze:

„Hełm otaczał moją głowę — jakże ciężko mi było
Ukrywać hańbiące piętno przed każdym zastępem wojska.
Ale od tej godziny raz na zawsze już
Nie będę nigdy ukrywać moich uszu.

O wy mężowie z Ui Failghe, przypatrzcie się dobrze
Uszy Eochaidha to są końskie uszy!
Nikt już z was nie potrzebuje zataić w domu,
Że widział uszy swojego króla.

Wielki to ciężar ukrywać tajemnicę
I nikt już po mnie nie zdoła jej uchować,
Skoro trzy drzewa wyjawiły wszystko,
Nie włożę już nigdy hełmu na głowę.“

A mężowie z Ui Failghe odpowiedzieli na to:

— Pomimo wszystko nie będziemy ciebie mniej kochać i szanować, a twoja potęga i moc władcza nie osłabnie wcale!

Król podarował harfiarzowi swój hełm jako odszkodowanie za to, co wycierpiał.

A potem wszystkiem syn Dichaoimhy poszedł tam, gdzie rosły drzewka i zrobił z nich sobie podwójną piszczałkę. Później jako następca Eochaidha osiągnął władzę królewską. Chociaż jednak został królem piszczałki swojej nie porzucił.

DIARMUID I GRAINNE.

Kiedy Fionn i Fenowie wyruszali na łowy, zostawał zwykle jeden z nich, aby strzec królewskiego obejścia. Pewnego dnia tym, który został w domu był właśnie Diarmuid Donn. Ponieważ dzień był piękny i ciepły, wszystkie kobiety poszły kapać się razem w jeziorze. Podczas tego jedna z nich imieniem Sadhbh Coghain utonęła. Wszystkie inne kobiety poczęły krzyczeć przeraźliwie, a kiedy Diarmuid usłyszał owe biadania, przybiegł czemprędzej. Opowiedziały mu wówczas, że Sadhbh utonęła, przeto Diarmuid musiał rozebrać się, aby ją z wody wyciągnąć.

A miał oto Diarmuid na piersiach swoich znamię miłosne i każda kobieta, która je zobaczyła, musiała się w nim zokochać.

Grainne była żoną Fionna, chociaż nie pierwszą. Podczas kąpieli znajdowała się razem z innemi kobietami na jeziorze i przypadkiem spojrzawsy na nagiego Diarmuida, zobaczyła znamię miłosne. Natychmiast się w nim zakochała i odwoławszy go na stronę, wyznała, że najlepiej uczyni, jeśli z nią stąd odejdzie; Fionn jest bowiem już za stary i ona nie chce dłużej z nim pozostać! Diarmuid odpowiedział, że tego uczynić nie może.

— Poważam bardzo Fionna, — rzekł,—a gdybym z tobą uciekł, Fionn płonąłby do mnie wieczną nienawiścią.

Ale ona dowodziła mu ciągle to samo i w końcu narzuciła mu tę ucieczkę pod grozą świętej klątwy. Diarmuid musiał ulec i tak oto wyruszyli w drogę.

— Tak więc, — mniemał Diarmuid — skoro Fionn i Fenowie wrócą do domu, czeka ich wieść o tem, że myśmy uciekli, a Sadhbh utonęła. To będzie smutna wiadomość. Bez wątpienia wielkie rozgoryczenie skłoni ich do tem rychlejszego pościgu. I nie upłynie wiele czasu, a dopędzą nas i zetną nasze głowy. Jeśli chcesz usłychać mojej rady pozostań lepiej w domu.

Ale ona nie dała się odwieść od swojego postanowienia.

— Nie potrzebuję twoich rad, — odpowiedziała na to — ruszajmy czemprędzej w drogę! Jestem pewna, że pościg im się nie powiedzie.

— Czy nie wiesz o tem, — rzekł Diarmuid — że skoro Fionn pocznie ssać swój wielki palec, zaraz będzie wiedział, gdzie my się znajdujemy?

— A więc — rzekła Grainne — napełnij worek piaskiem morskim. Prawdopodobnie Fionn nie będzie wiedział, o nas wszystko tak prędko, jak ty przypuszczasz.

Napełnił worek piaskiem i ruszył wraz z Grainne w drogę. Worek zaś niósł na plecach.

Podczas tej wędrówki odwrócili się od strony południowej i szli tak długo , aż ciemność zapadła. Właśnie znaleźli się na skraju lasu. Grainne powiedziała Diarmuidowi, że jest zmęczona i najlepiej będzie, jeśli, tutaj wypocznie do drugiego dnia. Wtedy Diarmuid położył worek z piaskiem, usiadł na nim i westchnąwszy ciężko, rzekł:

— Lepiejby nam było przebywać we dworze królewskim Fionna Mac Cumhaila, niż tutaj doświadczać trudu i głodu.

Po chwili poszedł w las i ubił jakiegoś dzikiego

zwierza, wrócił do Grainne, nazbierał drzewa i rozpalił wielkie ognisko. Wkrótce zwierzyna upiekła się, a oni najedli się mięsa do syta. Potem wziął Diarmuid swój miecz, poszedł do lasu i naciął leszczyny, aby przygotować posłanie dla Grainne. Urządził je pięknie i wygodnie nad brzegiem strumyka, który sączył się przez las. A potem rzekł do niej:

— To jest posłanie dla ciebie, możesz się na niem ułożyć do snu. Ja zaś będę czuwać, aby nas pogoń nie zaskoczyła znienacka.

Grainne obejrzała posłanie i rzekła do Diarmuida:

— Nicby nie zaszkodziło, gdybyś i ty położył się tutaj. Przede dniem bowiem nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

— Nie, — odparł Diarmuid — śpij spokojnie, ja będę czuwał po drugiej stronie strumyka na worku z piaskiem.

I tak się stało. W tym samym czasie wrócił Fionn z Fenami z wyprawy łowieckiej do królewskiego dworu. I wielkiem gniewem rozgorzał Fionn, skoro dowiedział się o nieszczęściach, które się wydarzyły, a mianowicie, że Gráinne z Diarmuidem uciekła, a Sadhbh utonęła. Rozkazał tedy Fenom, aby mu natychmiast przynieśli głowę Diarmuida.

— Skądże ją przynieść? — zapytał Ossian.

— Trzeba ją znaleźć! — rzekł Fionn i kiedy począł ssać swój wielki palec zobaczył, że Grainne znajduje się na leszczynie, a Diarmuid na morskim piasku.

Skoro Fionn przez ssanie wielkiego palca dowiedział się, że Diarmuid i Grainne nie przebywają razem ze sobą, jego wielki gniew zmniejszył się szybko. Nie należy rozpoczynać pościgu przed brzaskiem dnia, postanowił.

Następnego ranka zebrał siedem bojowych zastępów Fenów pełniących służbę. Szukali oni

wzdłuż wybrzeża morskiego śladów Diarmuida, ale nic nie znaleźli.

Kiedy słońce zeszło zawołał Diarmuid, budząc Grainne:

— Spałaś dobrze, ale teraz czas już, abyś wstała. Zjemy resztę pieczeni i opuścimy to miejsce.

I tak się stało. Posililiszmy się, ruszyli dalej. Diarmuid niósł na plecach worek z piaskiem. Kiedy około południa przechodzili przez bagniste trzęsowisko, prosiła Grainne Diarmuida, aby ją niósł na plecach, gdyż jest już bardzo zmęczona. Ale Diarmuid odpowiedział jej, że nie może tego zrobić.

— Niosę przecie — zauważył — na plecach worek z piaskiem, a to już dosyć.

Podczas całego wspólnego pobytu nie przyszło nigdy Diarmuidowi na myśl, aby Grainne czci pozbawić. Za bardzo bowiem poważał Fionna. Ona jednak często starała się go podrażnić. Kiedy tak szli razem, powinęła się stopa Grainne w kałuży i woda obryzgała jej nogi. Diarmuid usłyszawszy szelest za sobą, obejrzał się. Grainne wycierała właśnie nogi i rzekła:

— Kropla wody ma więcej odwagi, niż Diarmuid.

Ale on nie zwracał uwagi na jej słowa.

Noc już zapadła, kiedy przybyli do miejsca, które nazywa się „doliną jeleni". Diarmuid przygotował dla Grainne posłanie z leszczyny na stoku doliny.

— Połóż się tutaj, — rzekł — a ja przenocuję po drugiej stronie.

Grainne nie była zadowolona, bo nie wiedziała którędy trzeba iść poprzez dolinę do Diarmuida. Miała nadzieję, że oni przenocują po tej samej stronie, ale Diarmuid nie zgodził się na to, lecz razem z workiem powędrował na drugą stronę doliny.

Tam ułożył się w wyrwie skalistej, mając worek z piaskiem pod głową. Wtedy właśnie wrócili ludzie

Fionna, nie przynieśli jednak żadnej wiadomości ani o Diarmuidzie ani o Grainne. Fionn począł znowu ssać wielki palec i dowiedział się, że Diarmuid śpi na morskim piasku, a Grainne na leszczynie. Fionn powiedział swoim ludziom, że jutro muszą znowu wyruszyć na poszukiwania wzdłuż wybrzeża. Diarmuid napewno się tam znajduje, tylko nie zdołali go odszukać. I wyruszyli razem ze sforami psów, a Fionn także im towarzyszył.

Kiedy Grainne wstała następnego dnia, przeszła na drugą stronę doliny i odszukawszy Diarmuida poczęła się skarżyć, że jest głodna i że najpewniej tylko krótki czas będą razem, bo ona niedługo już umrzeć musi.

— Nie dostałam od ciebie nic do jedzenia ani do picia i teraz żałuję, że uciekłam z tobą.

— Przecież ja nie kazałem ci uciekać, — mówił Diarmuid — radziłem dobrze zanim opuściliśmy miejsce stałego pobytu. Ale niepodobna jest powstrzymać kobietę, jeśli sobie coś wbije w głowę. Ale teraz niema już żadnej rady. Pomimo to wszystko dopóki jestem z tobą, z głodu nie umrzesz.

To powiedziawszy poszedł Diarmuid w góry, aby upolować jakąś zwierzynę dla Grainne. Ale szczęście mu nie sprzyjało. Kiedy zaś chciał zawrócić w dolinę z powrotem, spotkał na drodze jakąś małą kobiecinę. Miała ona na sobie długi i osobliwy płaszcz. Był tak długi, że aż włókł się po ziemi.

Kobieta pozdrowiła Diarmuida i spytała, co go przywiodło w te strony? Opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło od początku aż do bezwocnego polowania. Skarżył się, że wraca z pustemi rękami i nie ma czem zaspokoić głodu Grainne. Wtedy kobiecina tak rzekła do niego:

— Diarmuidzie O Duinn, ciebie i Grainne nie może dręczyć ani głód ani pragnienie. Zaprowadź mnie

do Grainne. Jest w mojej mocy sprawić wam wiele dobrego.

Szli razem, aż przyszli do doliny, gdzie znajdowała się Grainne. Mała kobiecina zrzuciła tam swój płaszcz i rozpostarła go na stoku górskim. I oto pokrył się on natychmiast wszelkiego rodzaju najbardziej wyszukanemi napojami i potrawami. Jedli tedy i pili, aż zaspokoili swój głód i pragnienie. Po obiedzie Diarmuid podziękował serdecznie kobiecie za dobrodziejstwo, które im okazała i prosił, aby mu podziała swe imię, ma bowiem nadzieję, że przy odpowiedniej sposobności może jej wzamian jakąś przysługę wyświadczyć.

Wówczas kobieta owa tak odpowiedziała:

— Nazywają mnie „dobrą panią" i wiedz o tem Diarmuidzie O'Duinn, że matkę twoją znałam bardzo dobrze. Wówczas kiedy ciebie nosiła w swojem łonie, znaczną część swego życia spędziła w tych stronach, błądząc z przyćmioym umysłem. Gdybym wtedy nią się nie zaopiekowała, łatwoby się stać mogła pastwą dzikich zwierząt.

Poczem przestała mówić, wzięła swój płaszcz i zaraz odeszła. Diarmuid i Gráinne spędzili dzień cały bez troski. Kiedy noc nadeszła, udali się na spoczynek, każde z nich po innej stronie doliny.

Skoro Diarmuid wstał rano, począł wołać głośno na Gráinne, aby mu uprała koszulę. Wołając zaś stanął u wylotu wyrwy skalnej, gdzie spał, chwycił prawą ręką koszulę, cisnął ją prostym, zręcznym rzutem na posłanie Grainne. Ona podniosła się, wzięła koszulę i odrzuciła ją z powrotem, wołając, że nie zasłużył na czystą bieliznę. Usłyszawszy to Diarmuid tak się rozłościł, że chwycił ułomek skały i rzucił nim poprzez dolinę ku Gráinne. Na szczęście jednak nie trafił.

W tej chwili nadeszła „dobra pani" i rzekła do niego:

— O Diarmuidzie O'Duinn dlaczego jesteś tak bardzo rozgniewany?

— Mam powód nieladajaki, — brzmiała odpowiedź — powiedziałem Gráinne, aby mi uprała koszulę. Ale ona nie chce tego uczynić, mówi nawet że ja niezasługuję na czystą bieliznę. Sądzę, że Gráinne tak mówić nie wolno. Jak długo jesteśmy razem, robię dla niej wszystko, co jest w mej mocy. Staram się, aby się najadła, aby ugasiła pragnienie i pozwalam jej spać, jak długo zechce.

— Musisz się delikatnie obchodzić się z Gráinne, — rzekła „dobra pani" — chodź razem ze mną do niej. Postaram się was pogodzić, ale kiedy się to stanie, musisz ją pocałować.

Tak się też stało. „Dobra pani" rozpostarła swój płaszcz na ziemi i oto ukazały się wszelkiego rodzaju potrawy i napoje, o jakich tylko największy smakosz mógł zamarzyć. Na wezwanie „dobrej pani" Diarmuid i Gráinne wzięli się z zapałem do jedzenia, a kiedy jedli „dobra pani" pogodziła ich. Poczem Diarmuid pocałował Gráinne. Wówczas „dobra pani" podniosła swój płaszcz z ziemi i zniknęła im z oczu. Cały dzień spędzili w zgodzie, a Gráinne wyprała koszulę Diarmuida. Kiedy jednak noc nadeszła, Diarmuid przeszedł na drugą stronę doliny, aby tam szukać swego posłania. W owej dolinie przybyli czas długi, a „dobra pani" nie zapomniała o tem, aby ich w żywność zaopatrzyć. Jak wiele czasu tam spędzali, tego niepodobna powiedzieć. Wiadomo tylko, że nie było już więcej pomiędzy nimi kłótni ani niepokoju.

Przez cały czas Fionn z Fenami starali się znaleźć Diarmuida i Gráinne. Nie było takiego miejsca w Irlandji, w któremby ich nie szukano, a wreszcie na morskim wybrzeżu. Albowiem wieść, którą Fionn

przez ssanie wielkiego palca otrzymał, była taka: Diarmuid znajduje się na wydmie piaszczystej. Pewnego dnia, kiedy przeszukiwali południową część wybrzeża, rzekł Fionn do swoich Fenów, że niema już chyba sposobu, aby ich odaleźć.

Wówczas podniósł się Conán i rzekł.

— Zbadaliśmy jak najdokładniej każdy skrawek wybrzeża. Gdyby Diarmuid tu się znajdował, musielibyśmy się o tem dowiedzieć. Zrobimy najlepiej, jeśli wrócimy do domu. Jednak ty powiedziałeś, o Fionnie, że Gráinne tkwi gdzieś w leszczynie. A tu ku północy, aż do dworu królewskiego jest wiele ziemi zarośniętej leszczyną. Wracając przeszukajmy tedy wszystkie okolice, a może uda nam się znalźć przynajmniej Gráinne.

I zebrali się Fenowie, aby rozpocząć nowe poszukiwania. Odwrócili się plecami do wybrzeża morskiego, twarzą zaś ku północy w stronę dworu królewskiego. Wkrótce przetrząsnęli wszystkie miejsce zarośnięte leszczyną, ale Gráinne nie znaleźli nigdzie.

Podczas tej wędrówki wytropili oni przypadkiem jadowitego odyńca. Spuścili wtedy wszystkie sfory psów i hejże za nim. Ale on pomykał tak szybko, że żaden z ogarów, żaden z łowców nie zdołał go dogonić. Zaciekła gonitwa zbliżyła się wreszcie do tego miejsca, gdzie znajdowali się zbiegowie. Kiedy Diarmuid ujrzał wszystkich Fenów zajętych pościgiem odyńca i kiedy zobaczył, jak napróżno się trudzą, aby go dosięgnąć, nie mógł dłużej przemóc ochoty łowieckiej. Chwycił za miecz i skoczył nadół z wyrwy skalnej. Zręczny i rączy rychło prześcignął najbliższego prześladowcę. Kiedy Fenowie zobaczyli Diarmuida wznieśli gromki okrzyk, a kilku z nich zawołało:

— Oto co się zowie przybyć w samą porę, Diar-

muidzie! Nigdy bardziej, niż teraz nie byłeś potrzebny!

Diarmuid biegł tuż za odyńcem, a za nim inni łowcy. Tak przybyli do miejsca, które zwie się Ceann Tuirc. Tam odyniec zawrócił się i uderzył na Diarmuida. Straszliwa walka rozpoczęła się pomiędzy nimi. Ale Diarmuidowi dopisywało szczęście, i zdołał przeto odrąbać mieczem straszny łeb.

Kiedy wszyscy Fenowie zeszli się razem, pierwszy przemówił Conán:

— Fionnie, dlaczego nie pytasz Diarmuida, gdzie zostawił Gráinne?

A Fionn na to:

— Jeśli mąż jakiś dokonał czynu bohaterskiego, należy go najpierw pochwalić. Dairmuid spisał się dzielnie, ubijając odyńca, którego żaden z Fenów nie zdołał dosięgnąć.

— To nie jest znowuż nic tak wielkiego, — zauważył Conán — mybyśmy także potrafili go zabić i dokonywaliśmy bardziej chwalebnych czynów. Ale — ciągnął dalej — znam sztukę, której Diarmuid niepotrafi uczynić.

I począł Conán mierzyć odyńca i mierzył go wielkim palcem od głowy aż do końca ogona.

— Tego Diarmuid nie potrafi! — rzekł.

Poczem wystąpił Diarmuid i dokonał tego samego.

— A teraz — rzekł Conán — zmierz go jeszcze raz od końca ogona do głowy!

Conán wiedział bowiem, że odyniec ma jadowite kolce i bardzo jest niebezpiecznie mierzyć go pod włos.

Diarmuid począł mierzyć wielkim palcem od końca ogona do głowy, ale jeszcze nie uporał się z ogonem, kiedy jadowity kolc ukłuł go w wielki palec. Padł na ziemię i wił się w męce śmiertelnej, a Conán radował się ze swojego zdradzieckiego podstępu.

Kiedy Fionn zobaczył męczarnie śmiertelne Diarmuida przeląkł się i zawołał, że jeśliby mógł go uzdrowić, to chciałby to uczynić.

W tej samej chwili zjawiła się „dobra pani". Miała ona na sobie płaszcz osobliwy, który ciągnął się po ziemi, a w ręku puhar z rogu uczyniony. Przykryła skrajem płaszczu Diarmuida, poczem zwróciła się do Fionna i rzekła:

— Władco bitew okrutnych! Jeśli pragniesz tego, możesz znaleść ratunek dla Diarmuida.

— Dzięki ci za to! — odrzekł Fion — Powiedz mi tylko w jaki sposób go uratować mogę, a reszty już sam dokonam.

— Odzyska zdrowie, — rzekła ona — jeśli dostanie trzy łyki wody, która płynie w potoku słodkiego mleka na północ od Macroon. A ty musisz mu podać te trzy krople własną dłonią.

— Chętnie to uczynię — rzekł Fionn — ale skądże wezmę tej wody, skoro potok płynie tak daleko ode mnie.

— Jeśli pomiędzy Fenami znajduje się mąż dzielny i szybki, przyniesie w tym rogu wody z owego potoku. Ale musi on być bardzo szybki, gdyż inaczej Diarmuid umrze, zanim on powróci.

— Mam takiego — rzekł Fionn — jest on tak ręczy i szybki, że gdyby dom cały wypełnić jaskółkami i gdyby dom ten miał tyle okien, ile ma rok dni, nie pozwoliłby uciec żadnej jaskółce od ranka do wieczora.

— Ten nie da rady — odparła „dobra pani" — on nie jest dość chyży.

— Mam drugiego, — zaczął znowu Fionn—gdyby ktoś wytrząsnął z najwyższej w całej Irlandji góry worek piór, i to podczas największego wiatru, nie byłoby takiego piórka, któregoby on do wieczora nie wsadził z powrotem do worka.

— Ten także nie wydołał — rzekła „dobra pani" — Czy nie masz bardziej szybkiego męża?

— O tak — odparł Fionn — mam takiego, który jest bardziej chyży, niż myśl kobiety.

— Takiego właśnie potrzeba! — zawołała „dobra pani" — Gdzież on jest?

— Tutaj! — rzekł Caoilte.

— Czy chcesz przynieść wody cudownej? —

— Byłem tam już i wróciłem! — odparł, podając róg z wodą.

A więc Fionnie! — rzekła „dobra pani" — podstaw swe ręce!

Fionn nastawił dłonie, a ona nalewała wody z puhara. I zwrócił się do Diarmuida, aby dać mu pić.

Tymczasem Conán począł mówić i tak powiedział:

— Jakże słodko było Diarmuidowi całować wargi Gráinne!

Wtedy poczęły drżeć ręce i nogi Fionna, a woda przeciekła przez palce.

— Źle się dzieje! — rzekła „dobra pani" — Przyrzekłeś uratować Diarmuida, jeśli go uratować można. Nie zdołasz jednak dotrzymać swego przyrzeczenia, jeśli słuchać będziesz tego łysonia.

Fionn zaręczył wówczas, że łysy nie przeszkodzi mu w uratowaniu Diarmuida.

I znowu nalała wody na jego ręce. Kiedy zbliżył się do warg Diarmuida, Conán począł znowu mówić:

— Fionnie, źle będzie z tobą, jeśli uratujesz Diarmuida; bowiem Gráinne była jego kochanicą, zanim jeszcze od ciebie uciekła.

— To nieprawda! — rzekł Fionn.

— A jednak - odparł Conán — mogę ci to udowodnić! Czy pamiętasz bitwę pod Cnoc an Air?

— Jak najlepiej pamiętam — rzekł Fionn.

— Czy przypominasz sobie, jak Gráinne i żona Meargaga wybierały wówczas mężów? Dlaczegoż

nie wybrała Gráinne Diarmuida do swojego zastępu? Był on przecież dzielnym rycerzem i zasługiwał na to, żeby go wyprawić do walki. Ale Gráinne chciała go mieć przy sobie, lękając się, aby nie zginął. Kochała go bowiem.

I znowu pociekła woda pomiędzy palcami Fionna, a Diarmuid był w tej chwili zupełnie już nieprzytomny.

Teraz rozgniewał się bardzo Oscar i zawołał:

— Fionnie! nie zważajże na to, co mówi Conán. To pewne, że kiedy Gráinne wraz z żoną Meargaga wybierały mężów, nie wybrały one nietylko Diarmuida, ale także i mnie, Golla, Ossiana i wielu innych dzielnych rycerzy. I nie jest rzeczą słuszną dowodzić, że ona go wówczas kochała. A teraz — mówił dalej — ratuj Diarmuida, gdyż jego śmierć będzie wielką stratą dla Fenów. Był on przecież dla nas często wielce pomocny, o wiele więcej niż Conán kiedykolwiek.

Fionn podstawił dłonie a „dobra pani" nalała po raz trzeci wody z puharu. Zwrócił do Diarmuida i chciał go napoić, wtem łysy wybuchnął śmiechem szyderczym i zawołał:

— Ach, Fionnie! Jakże wspaniały jest ratunek z rąk rogacza!

Wtedy pomyślał Fionn o tem, że Gráinne uciekła z Diarmuidem. Jego nogi i ręce poczęły znowu drżeć, tak, że woda przeciekła przez palce. Teraz Oscar rzucił się na Conána i zmusił go do ucieczki. Oscar wrócił z powrotem i pragnął skłonić Fionna, aby podał wodę Diarmuidowi, ale kiedy wrócił, Diarmuid już nie żył.

Wówczas „dobra pani" uniosła płaszcz, którym go przykryła i poczęła dokoła niego wznosić żałobne skargi.

Nie oskarżała Fionna, lecz wołała, że chytrość Conána śmierć Diarmuida sprowadziła. Rozkazała

Fenom, aby wzięli zmarłego ze sobą i pochowali go, jak bohatera. A potem zabrała puhar z rogu i chciała opuścić hufiec Fenów. Wówczas Fionn zapytał, czy nie wie, gdzie się znajduje Gráinne. Oa zaś odpowiedziała, że wie i może ją doń przyprowadzić, nie powinien jednak jej lżyć za przebywanie z Diarmuidem. Fionn przyrzekł, że nie będzie jej ganił. Potem odeszła „dobra pani" i przybyła tam, gdzie znajdowała się Gráinne. Rzekła jej, że Diarmuid nie żyje i opowiedziała w jaki sposób życie utracił.

Smutek i cierpienie przytłoczyły Gráinne i żyć już więcej nie chciała, skoro dowiedziała się, że Dairmuid umarł.

Ale „dobra pani" tak długo do niej przemawiała, aż wszystko stało się jej obojętne. Uśmierzywszy zwątpienie Gráinne, wezwała ją, aby poszła do Fionna, bo on jej wszystko przebaczył. W kilka dni potem weszły do pałacu Fionna. Diarmuid był już pogrzebany, a smutek wielu Fenów minął.

Fionn powitał Gráinne z radością i dotrzymał przyrzeczenia. Nie spotkała jej żadna nagana.

Natomiast wiele żon Fenów lżyło Gráinne, twierdząc, że dokonała ona straszliwego przestępstwa, skoro uciekła z obcym mężem. „Dobra pani" jednak orzekła, że wszystkie one są gorsze od Gráinne. Mężowie nie radowaliby się wcale, gdyby dowiedzieli się o wszystkich ich niecnych sprawkach.

Wówczas przemówił Conán i zapytał:

— A w jaki sposób moglibyśmy się o tem dowiedzieć?

— Oto w taki sposób! — odpowiedziała „dobra pani".

Zdjeła swój płaszcz i rzekła znowu:

— Niechże każda z waszych żon włoży ten

płaszcz na siebie. Jeśli cnotliwe było jej życie, płaszcz okryje ja aż do ziemi. Lecz jeśli życie jej pełne było występków, płaszcz nie będzie mógł jej zasłonić.

Wówczas rzekł Fionn do Gráinne:

— Odziej się płaszczem!

Gráinne okryła się nim, lecz płaszcz nie zasłonił małych palców u jej nóg.

— Dlaczego płaszcz nie zakrywa twoich małych palców u nóg? — zapytał Fionn.

A Gráinne odpowiedziała:

— Diarmuid pocałował mnie.

Potem wiele żon Fenów wkładało płaszcz, ale żadnej z nich nie zdołał on zasłonić, bo życie ich było występne.

Wreszcie rozkazał Conán swojej żonie, aby okryła się płaszczem. Uczyniła to z drżeniem, gdyż sumienie jej nie było czyste. I oto płaszcz wzniósł się w górę aż po szyję, a kiedy Conán to zobaczył, nie zdołał zapanować nad sobą, dobył miecza i odrąbał głowę własnej żonie.

Wówczas „dobra pani" zawołała:

— Teraz zemściłam się na łysoniu!

O mało co nie odciął i jej głowy Conán, gdyby Oscar nie przytrzymał mu rąk.

I rzekł Conán do żon Fenów, aby zatrzymały ów płaszcz. Pragnął bowiem, aby wiele jeszcze kobiet straciło przez niego życie. Lecz „dobra pani" zwróciła się do Fionna i rzekła:

O łaskawy Fionnie, ty, który w straszliwych bojach przewodzisz
Zostaw mi płaszcz, co zdradza niewierność żon!
Moich tajemnic nikt nie zna,
Lecz ja znam tajemnice wszystkich.

Wtedy oddał Fionn „dobrej pani" jej płaszcz. Włożyła go i pożegnała wszystkich rycerzy, życząc im zdrowia i dobrego losu.

I niema już żadnej wieści o tem, jak Fionn i Gráinne żyli ze sobą po tem wszystkiem, co się wydarzyło!

DREWNIANY ORZEŁ.

W pewnym małym kraju znajdowało się niegdyś państewko niewiększe od reszota, a w państewku tem panował car, który miał syna, wszyscy zaś jego poddani same były pijanice.

Pewnego dnia spotkało sią trzech ludzi w szynku. Zasiedli, popili i gadać zaczęli. Jeden z nich rzekł:

— Chociaż tylko marny pijaczyna jestem, gdybym miał odpowiednie instrumenty, mógłbym zrobić drewnianego orła!

A drugi powiedział:

— Ja zaś zrobiłbym śrubę, aby orzeł mógł latać. Pokręcisz śrubę na lewo — on leci na dół, pokręcisz na prawo, a on do góry się wznosi.

Wreszcie trzeci oświadczył:

— Ja jestem zręcznym złotnikiem, więc bym mógł go całego pozłocić.

Kiedy oni tak gawędzili, w szynku znajdował się carewicz. Przyjrzał się dobrze, zapytał, jak się nazywają i postawił flaszkę wódki. Oni wypili, podziękowali i poszli swoją drogą.

Minęło kilka dni, aż wszystkich trzech ludzi wołają do cara. Przyszli, zapytali ich, jak się nazywają i prowadzą przed carski tron.

To wyście chcieli zrobić drewnianego orła? — zapytał car.

— Tak jest.

— Ile żądacie za tę sztukę?

— Potrzebujemy na to co najmniej tysiąc rubli.

Dostali pięćset rubli zaliczki, przepili te pieniądze i ani myśleli o zrobieniu drewnianego orła. Znowu przeszło kilka dni, potem poszli do cara i proszą o pieniądze:

— Daj nam, batiuszka, jeszcze, bo nie starczyło na pozłocenie.

Wtedy car dał im drugie pięćset rubli. Przepili czterysta, za sto rubli kupili instrumentów i wzięli się od roboty. Zrobili drewnianego orła, jak należało i zawiadomili cara, że już gotów. Carewicz obładował orła rozmaitemi zapasami, wzniósł się w górę i poleciał daleko, Bóg wie dokąd.

Nie było go i nie było, minął miesiąc i więcej, a jego ani widu ani słychu. Zasmucił się car i pomyślał:

— Zastawili pułapkę, aby schwytać mojego syna.

Kazał tedy przytrzymać trzech drabów i zamknął ich do więzienia.

Tymczasem carewicz leciał i leciał, aż przyleciał do drugiego państwa. Poszedł do jakiejś starej kobiety i u niej zamieszkał. Żył tam sobie czas jakiś i dowiedział się, że w mieście znajduje się jakaś wieża. Stara zaś zaczęła mu opowiadać:

— W tej wieży zamknięto córkę królewską. Chociaż ona nic nie przewiniła, została wygnana przez ojca. Pewnego razu bowiem urodził się ruskiemu carowi syn, a naszemu królowi córka, wówczas przyrzekli sobie wzajemnie, że dzieci te parą małżeńską będą. I dlatego zamknął król córkę w wieży, aby czekała, aż jej narzeczony przybędzie.

Carewicz zapakował orła do węzełka (można go było rozkładać i znowu składać) i poszedł pod wieżę. Potem wsiadł na orła, wzniósł się w górę i opuścił się na dach. Z dachu zaś prowadził na dół korytarz, bo przecież z góry żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Późno już było, więc niańki i służące

już spały. Carewicz wszedł do wieży, wszędzie jednak natrafiał na kryształowe drzwi, których w żaden sposób nie mógł otworzyć. Wreszcie jakoś udało mu się dostać do komnat sypialnych. Otworzył drzwi i oto zobaczył córkę królewską śpiącą, a spała ona zupełnie naga. Patrzył na nią długo, bardzo długo, wreszcie dotknął ją ręką. Obudziła się i zobaczywszy nieznanego mężczyznę rzekła:

— Wyjdź stąd i zaczekaj aż się ubiorę.

On wyszedł, a ona ubrała się i poczęła go wypytywać, co zacz jest i czego chce. Odpowiedział jej, w jaki sposób się tu dostał. I tak siedzieli razem, gawędzili i zabawiali się, wreszcie carewicz odszedł.

Następnego dnia znowu się spotkali i wtedy posiadł ją. Niebawem zaszła w ciążę i napisała do rodziców list, donosząc, że we śnie przyszedł jej ukochany i nawet ślady na koszuli zostawił; a wszystko działo się naprawdę. Ojciec uśmiechnął się na to z powątpieniem i rzekł:

— Czyż to możliwe? Przecież ona w życiu nie widziała mężczyzny i miałaby go we śnie zobaczyć? A może przychodzi do niej ktoś prawdziwy, a nie żadna mara senna.

I wśród nocy posmarował dach czerwoną farbą.

— Jeśli ktoś do niej przychodzi, zobaczę jego ślady na dachu.

Carewicz zaś nie wiedział o niczem, wzleciał w nocy w górę, opuścił się na dach i posmarował sobie płaszcz, ubranie i kalosze. Noc spędził u córki królewskiej, potem wrócił do starej, jakby się nic nie stało, rozebrał się i poszedł spać.

Rano król obejrzał dach i znalazł ślady; natychmiast tedy rozkazał, aby w całem mieście przeprowadzono poszukiwania. Policja i żołnierze zaglądali wszędzie, ale nie mogli nikogo znaleść. Tymczasem

jeden z policjantów przechodził koło mieszkania starej, u której mieszkał carewicz i zawołał:

— Matko dajcie mi, proszę, zapałkę, bo nie mam czem zapalić fajeczki.

Ona zaś odpowiedziała:

— Nie mogę wyjść, chodź sam po ogień.

Policjant wszedł i zobaczył płaszcz umazany czerwoną farbą. Tedy zbudził carewicza i zaprowadził go do króla na przesłuchanie.

Król zapytał go:

— W jaki sposób zdołałeś się tam dostać? Kto cię wpuścił?

— Nie byłem tam wcale! — odpowiedział carewicz.

— Jeśli nie przyznasz się, skażę cię na śmierć — rzekł na to król.

A carewicz odpowiedział:

— Możesz mnie skazać, ale ja do niej nie chodziłem.

I córka królewska także nie przyznała się do winy.

Wówczas car skazał go na śmierć. Nad wieczorem wzniesiono rusztowanie i przyprowadzono carewicza na miejsce stracenia. Kiedy już stanął na rusztowaniu, rzekł:

— Niechże mi wasza królewska wysokość pozwoli powiedzieć jedno słowo!

A kiedy król pozwolił, on poprosił, aby mu darowano jedną godzinę życia. I na to pozwolono mu także.

Wówczas carewicz wyciągnął orła, rozwinął, pokręcił śrubę na prawo i wzbił się w górę, tam, gdzie się znajdowała jego oblubienica. Wzleciał na wieżę, zabrał córkę królewską, wzbił się znowu w górę i poszybował do swojego państwa.

A trzej nicponie siedzieli w więzieniu i tylko kilka dni brakowało już do ich śmierci. Kiedy zaś zbliżała się ostatnia godzina, poprosili cara o lunetę i

zaczęli się gapić na niebo, czy nie widać czasem drewnianego orła. Wtem jeden z nich zobaczył ptaka, który nie poruszał skrzydłami. Zaczekali jeszcze trochę i w istocie nadleciał drewniany orzeł.

Carewicz wrócił szczęśliwie, więc car pozwolił pozwolił trójce hultajskiej chodzić zawsze po wszystkich szynkach i pić ile wlezie.

Carewicz zaś pojął za żonę córkę królewską, którą przywiózł na drewnianym orle.

Przypisy.

O MOCNYM BRACIE I O ZŁEJ SIOSTRZE.

Baśń niezmiernie w Polsce rozpowszechniona, opracowałem ją na podstawie osiemnastu odmian zapisanych przez najrozmaitszych zbieraczy na całej przestrzeni Polski od Kaszub aż po Beskidy. Niewątpliwie w baśni tej splata się w jedną całość kilka motywów, które często występują oddzielnie. Konstrukcja jednak, którą znalazłem w odmianie kaszubskiej i górnośląskiej, jest tak zwarta i konsekwentnie przeprowadzona, że uznałem za najbardziej odpowiednie utrzymać ją i wzbogacić tylko wieloma barwnemi szczegółami, zaczerpniętemi z innych warjantów. Początek baśni, która zdaniem mojem wymagała takiego właśnie uzupełnienia, jest moją własną kompozycją. Bohatera tej baśni nazwałem mocnym Janem. Tego rodzaju przydomek jest o tyle usprawiedliwiony, że się go w naszych baśniach spotyka bardzo często. (Jan nie bój się, mocny Bartek, mocny Maciek, mocny Karolek i t. d.)

SINOBRODY.

W tym wypadku motyw francnski, (Charles Perrault: Contes de ma mère l'oye) zresztą bardzo rozpowszechniony w najrozmaitszych odmianach po całym świecie. U nas rolę Sinobrodego pełni zazwyczaj zbójca, który wabi do siebie jedną siostrę po drugiej.

O TRZECH SIŁACZACH.

Baśń o polskim Herkulesie bardzo u nas rozpowszechniona, została opracowana przezemnie na podstawie dwudziestu kilku odmian z całej Polski. Ma ona bardzo wiele wspólnego z podobnemi baśniami francuskiemi. Kult siły najbardziej jest apoteozowany w baśniach i podaniach niemieckich.

O PANNIE, KTÓRA KOCHAŁA POTWORA.

Opracowałem ją na podstawie motywu zapisanego na Mazowszu Pruskiem z uwzględnieniem kilku innych odmian, a zwłaszcza krakowskiej. W literaturze francuskiej bajka ta została opracowana przez Mme. le prince de Beaumont w „Magasin des enfants ou dialogues entre une sage gouvernantę et plusieurs de ses élèves." W odmianie polskiej posiada wiele naiwnego wdzięku i subtelnych szczegółów.

JAK ROKITA PRZEGRYWAŁ DUSZE W KARTY I JAK SIĘ ODGRYWAŁ.

Baśń kaszubska, wyzyskałem jednak kilka innych odmian

TAK ŚWIAT PŁACI.

Ta piękna, filozoficzna bajka opracowana została przezemnie głównie na podstawie motywu, zapisanego pod Duklą, uwzględniłem jednak przedewszystkiem dwie odmiany zanotowane przez Ciszewskiego w Krakowskiem, a dalej odmianę płocką, kaszubską i jeszcze jedną krakowską Kolberga.

CZŁOWIEK ZE ZŁOTEMI NOGAMI.

Baśń francuska, (Bladé: Contes populaires de la Gascogne) łączy w sobie wiele motywów z podań germańskich, celtyckich i sag północnych.

O BIEDNYM I BOGATYM BRACIE.

Baśn polska opracowana przeze mnie na podstawie sześciu różnych odmian, które nieraz bardzo się pomiędzy sobą różnią, przechodząc nawet w symboliczne formy.

O DJABŁACH TANIECZNIKACH.

Baśń polska opracowana przeze mnie na podstawie wielu odmian, z uzględnieniem najrozmaitszych wierzeń demonologicznych.

O KOZIE ROGATEJ.

Opracowanie moje na podstawie dziesięciu odmian polskich. Wyczerpujące zestawienie motywów polskich i obcych tej bajki moża znaleźć w rozprawce prof. Adama Fischera, wydrukowanej w piśmie etnograficznem „Lud" (XVI, 347)

CZŁOWIEK Z ŻELAZA.

Baśń francuska, (Cosquin: Contes populaires de la Lorraine) jedna z wielu, w których bohaterem jest stary żonierz. Występuje i u nas w najrozmaitszych odmianach.

O DZIEWCZYNIE, CO ROBIĆ NIE CHCIAŁA.

Tę opowieść opracowałem na podstawie pięciu polskich odmian z uwzględnieniem piosenek ludowych. Bardzo interesująca jest odmiana kielecka p. t. „Niezgoda w małżeństwie". Odmiana ta tłómaczy w jaki sposób powstało ziele Anioła Stróża czyli betonijka.

ZŁA PANI.

Baśń szwedzka („Die Herrin auf Pintorp" z niemieckiego zbioru „Nordische Volksmärchen")

KRÓL EOCHAIDH Z KOŃSKIEMI USZAMI.

Stara baśń irlandzka (z niemieckiego zbioru „Irische Volksmärchen") motyw jej bardzo rozpowszechniony, niewątpliwie król Eochaidh ma wiele wspólnego z królem Midasem.

DIARMUID I GRAINNE.

Baśń irlandzka, (z niemieckiego zbioru „Irische Volksmärchen") posiada wiele analogji z podaniem o Tristanie i Izoldzie, oraz z baśniami i baladami szkockiemi.

DREWNIANY ORZEŁ.

Baśń rosyjska (Oncukow: „Siewiernyja skazki")

SPIS RZECZY:

20—